

Limanowskie Jasełka



**Golgota Narodu Polskiego
w grafikach Wincentego Gawrona**

**Osoba i Czyn
- Wanda Póltawska w Limanowej**

**Limanowska Kalwaria
- nowy projekt**

**Magia galerii
- 25 lat Miejskiej Galerii Sztuki**

**Okруchy pamięci
Limanowa na nowszej fotografii**

**W 70. rocznicę wysiedleń
Polaków z Wielkopolski**

**Stały dyżur
- wspomnienia Janiny Bączkowskiej**

**Początki działalności
Kongregacji Kupieckiej w Limanowej**

Zwycięstwo prawdy - plon pracy Ojca Świętego Jana Pawła II



Golgota Narodu Polskiego w grafikach Wincentego Gawrona

W roku ubiegłym minęła 100. rocznica urodzin Wincentego Gawrona, wybitnego limanowskiego artysty. Przedstawiamy Czytelnikom Jego biografię, którą napisała siostrzenica, Zofia Wiśniewska. Prezentujemy również grafiki, które autor zatytułował „Polską Drogą Krzyżową”.

Powstały w latach 1989–1991 jako ostatnia artystyczna praca Wincentego Gawrona. W ten sposób artysta pragnął zakończyć swoją bogatą twórczość. Kiedy przyjechał do Polski w czerwcu 1989 roku i przywiózł napisane przez siebie dwie książki, przekonał się, że może je wydać w swojej Ojczyźnie.

W dodatku specjalnym w jednej z publikacji „Pieśń walczących Gorców” – dedykowanej siostrzenicy Zofii Wiśniewskiej napisał: *Widziałem na własne oczy jak melodia wolności płynie przez kraj i marzenie mej lutni spełnia się w całej pełni...*

Wraca do Stanów Zjednoczonych i postanawia na podsumowanie twórczości stworzyć w ulubionej przez siebie grafice rysowanej węglem Golgotę Narodu Polskiego, którą nazwał „Polską Drogą Krzyżową”.

W ten sposób powstaje 19 stacji, w których artysta zawiera w formie symbolicznej wydarzenia i przeżycia narodu polskiego przedstawiające „Polską Golgotę”. Cykl tych grafik tworzy w Stanach Zjednoczonych, nie które powstają także w Polsce.

Wincenty Gawron marzy, aby Jego grafiki dotarły do Ojczyzny. Pragnie bowiem pokazać prawdę historyczną, której on sam w swoim życiu nie mógł wyrażać w kraju.

Niestety w międzyczasie umiera, nie doczekawszy się upublicznienia swojego ostatniego artystycznego dzieła.

Do Polski prace przywozi Jego siostrzenica, Maria Mazur i przekazuje kuzynce, Zofii Wiśniewskiej, autorce interesujących publikacji związanych z Ziemią Bocheńską, która mieszka w Bochni (z urodzenia jest limanowianką). Tak dochodzi w kwietniu 1991 roku do pierwszej prezentacji „Polskiej Golgoty” w Polsce w Powiatowo-Miejskiej Bibliotece w Bochni. W Limanowej zbiór prezentowany był w 1993 roku w Miejskiej Galerii podczas wystawy zatytułowanej „Oni rozślawiają region”. Podejmowane były próby wydania grafik w formie albumu. Niestety wysiłek rodziny nie przyniósł efektu. Prace powracają do córki Małgorzaty mieszkającej w Chicago.

Dopiero w roku bieżącym po 16 latach na nowo powraca temat „Golgoty Narodu Polskiego”. Okazją staje się 70. rocznica wybuchu II wojny światowej. Córka Wincentego Gawrona, Małgorzata, pragnie w środowisku Polonii Amerykańskiej w formie publikacji pokazać ostatnią pracę swojego ojca. Nie rozumiejąc w pełni zawartej w grafikach symboliki,

zwraca się o pomoc do kuzynki Zofii, która podejmuje temat i w lipcu tego roku opisuje stacje. Następnie przesyła opracowanie do Stanów Zjednoczonych i podarowuje wraz z kserokopiami grafik zainteresowanemu żyjącym członkom rodziny Gawronów.

Echo Limanowskie podjęło się prezentacji wybranych stacji Polskiej Golgoty. Publikacja ta jest pierwszą w rodzinnym mieście artysty. Rozpoczynamy od stacji ostatniej, której symbolika utrzymana jest w charakterze nadziei na lepsze jutro, zaś wszystkie poprzednie zawierają tragizm polskiego narodu.

Planuje się w niedalekiej przyszłości na stałe wyeksponować te prace w postaci dużych powiększeń w obrębie placu koronacyjnego limanowskiej bazyliki.

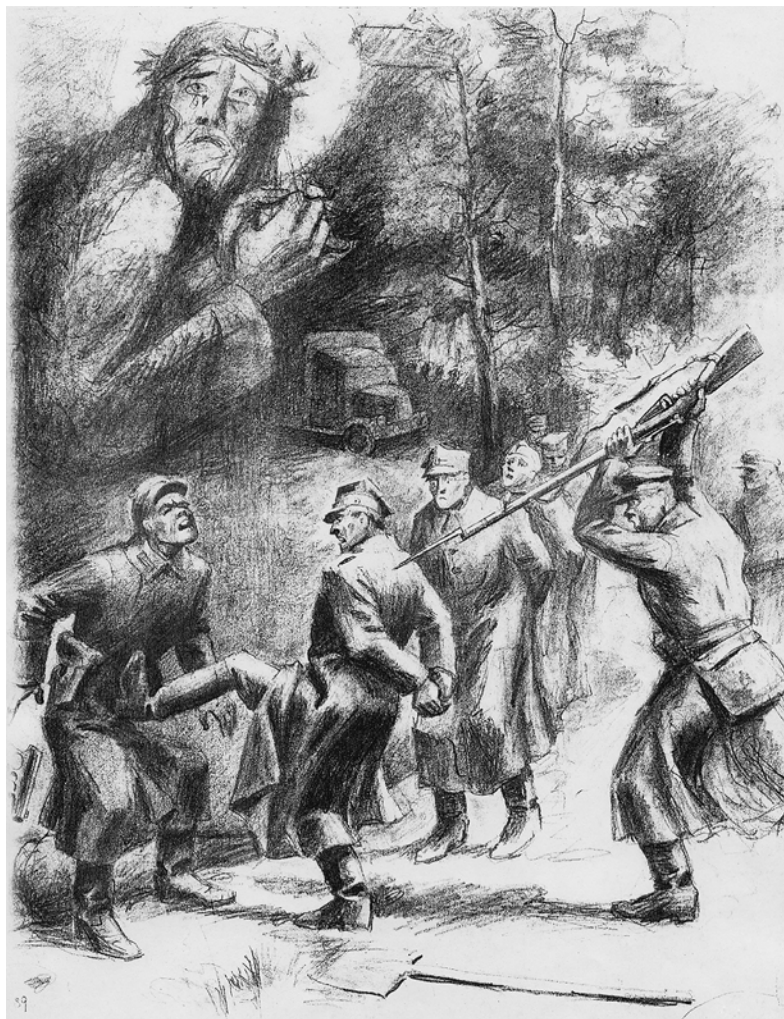
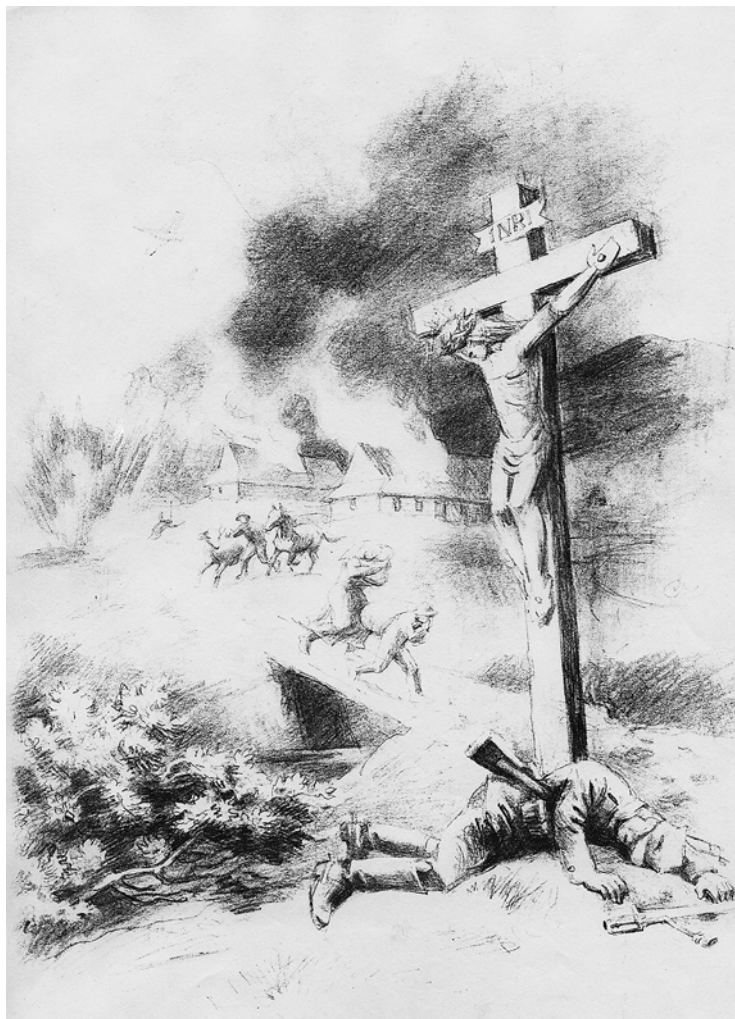
Stanisław Ocieпка

Tą drogą wyrażam serdeczne podziękowania: pani Alinie Gawron, która jest inicjatorką poczynań związanych z prezentacją „Polskiej Drogi Krzyżowej” w Limanowej, ks. prałatowi Józefowi Porębie za udostępnienie kopii grafik. Szczególne podziękowania kieruję do pani Zofii Wiśniewskiej za przyjazd z Bochni do Limanowej oraz spotkanie, podczas którego uzyskałem wiele wyjaśnień związanych z historią tworzenia ostatniego artystycznego dzieła Wincentego Gawrona.

Obok: Stacja ostatnia - Zwycięstwo prawdy – plon pracy Ojca Świętego Jana Pawła II

Ta Stacja „Polskiej Drogi Krzyżowej” jest utrzymana w innym tonie, chwalebny, bo choć Wielki Kapłan - „największy z rodu Słowian” ciężko pracuje jako rolnik, siejąc w glebę ziarno prawdy jest spokojny, bo wie, że z tego ziarna będzie obfity plon. Mówią o tym wąsate i ciężkie kłosa zboża, a cieszą kwiaty ubarwiające nasze ojczyste łąny.

Zamaszysty ruch ręki, skupiona uwaga na wykonywanej pracy i nadzieja, że przyszłość będzie lepsza, jaśniejsza, a praca lżejsza kończy „Polską Drogę Krzyżową”.



Cóż można było zrobić potężnemu wrogowi, który miał nowoczesny sprzęt, wiele jednostek pancernych, liczne okręty wojenne i tysiące samolotów nadlatujących jak złowroźne ptaki nad nasze wioski i miasta, by je niszczyć, niszczyć, niszczyć. Sama odwaga nie wystarczała.

Pióropusze ognia, iskry z płonących domostw, głębokie leje po bombach, znękani mieszkańcy uprowadzający zwierzęta domowe, unoszący odrobinę żywności i Męka Boża przy drodze, a przy niej żołnierz - obrońca bez życia, to jakże częsty wrześnieowy obrazek. Zaczęła się „Polska Golgota”.

Fragment lasu w Katyniu, wóz ciężarowy tzw. „buda” dowożący jeńców na miejsce kaźni i oficerów w polskich mundurach prowadzonych pod eskortą do grobów wykopanych w lesie. Nad polskimi męczennikami płacze nawet Chrystus. Mimo iż sam tak wiele wycierpiał, nie potrafił zachować spokoju.

Pan zapłakał nad naszym polskim losem tak, jak kiedyś płakał nad losem Jerozolimy. Ile męczeńskich śmierci - tyle tragedii ludzkich.

Zofia Wiśniewska

Wincenty Gawron - wielki Polak, patriota i artysta

Wincenty Gawron urodził się 28 stycznia 1908 r. w Starej Wsi koło Limanowej w patriotycznej i szanującej tradycję rodziny chłopskiej. Ojciec - Jan Gawron długoletni wójt starowiejski, człowiek, jak na owe czasy światły i ocytany, przekazywał licznej gromadce swoich dzieci miłość do Ojczyzny i do ziemi. Zaś matka - Anna, prawdziwa polska matrona, uczyła zachowywać zwyczaje oraz szanować przeszłość swojego narodu.

Widać nauka trafiła na podatny grunt, bowiem z tej rodziny również pochodził znany działacz ruchu ludowego, pamiętnikarz

i badacz przeszłości Limanowszczyzny - Walenty Gawron - starszy brat Wincentego i on sam, utalentowany artysta — malarz, drzeworytnik, rytownik, witrażysta, literat i dramaturg.

Od dzieciństwa objawiał ogromne zdolności do malowania i rysowania. Fascynowało go zwłaszcza wojsko. To o nim, o polskim wojsku, szeptali wieczorami starsi mężczyźni, o nim marzyli młodzi chłopcy, a kobiety śpiewały piosenki.

Tacy właśnie wymarzeni wojacy, polscy żołnierze, legionieści pojawili się niespodziewanie w Limanowej wraz ze swym Ko-

NIEMIECKIE OBOZY ZAGŁADY



Więzień, który upadł. Ucieczka się nie powiodła. Pościg ze specjalnie tresowanym psem dopiął swego. Pies, kiedy indziej wierny przyjaciel człowieka, stał się jego wrogiem. Zły, bezwzględny człowiek swój krwiożerczy instynkt przekazał zwierzęciu, deprawując jego naturę. Ziemska droga więźnia dobiegła kresu. Nic mu już nie uczyli ani zły człowiek, ani rozjuszone zwierzę. Nad ofiarą pochyla się Chrystus, by zbawczą ręką dotknąć udreżoną człowieczą głowę. Na dalszym planie widać stojące szeregiem baraki. To obóz koncentracyjny.

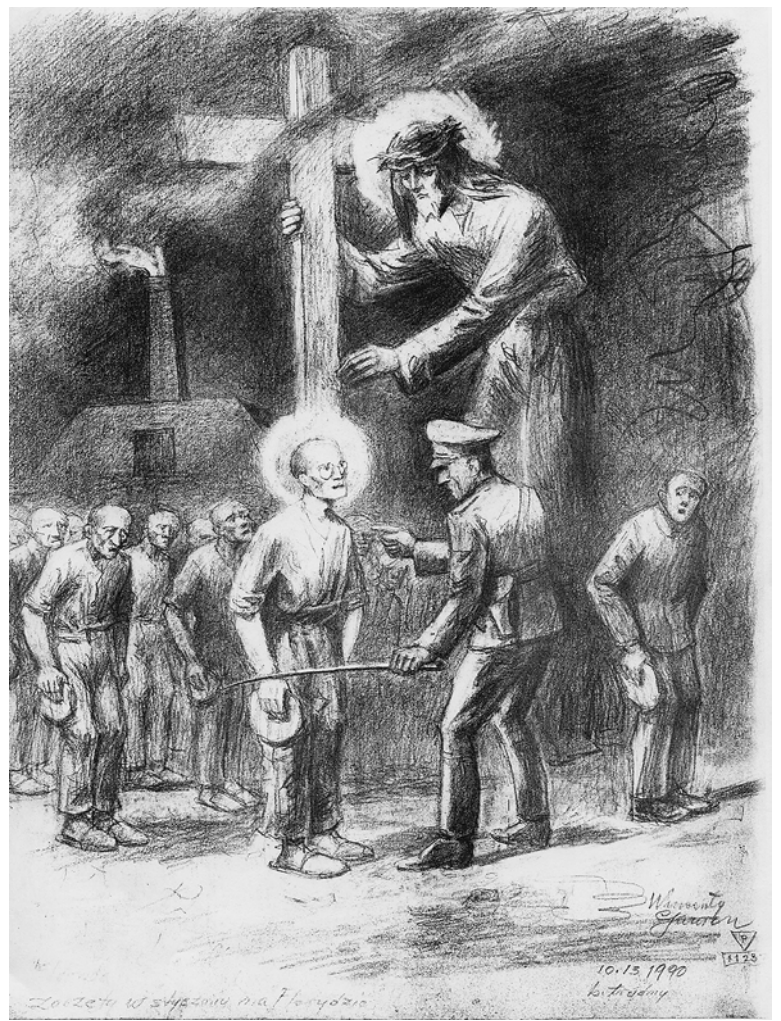
mentantem Józefem Piłsudskim w listopadzie 1914 r. Komendant zamieszkał na kwaterze w domu, który zachował się do tej pory, o czym mówi pamiątkowa tablica.

Jego to właśnie, wielkiego legionowego komendanta zobaczył 6-letni chłopiec i ten widok pozostał w nim na całe życie.

Po raz pierwszy na grubym, szarym papierze narysował ołówkiem legionistę i postanowił, że będzie utrzymywał to, co dostrzeże na każdej dostanej kartce. Zaś czasy szły ciężkie i okrutne. W kilka dni potem był świadkiem jednej z największych bitew, jaka rozegrała się pomiędzy wojskami rosyjskimi i austro-węgierskimi w czasie I wojny światowej na Wzgórzu Jabłoniec (8-12 XII 1914 r.).

OFIARA

OJCA MAKSYMILIANA KOLBEGO

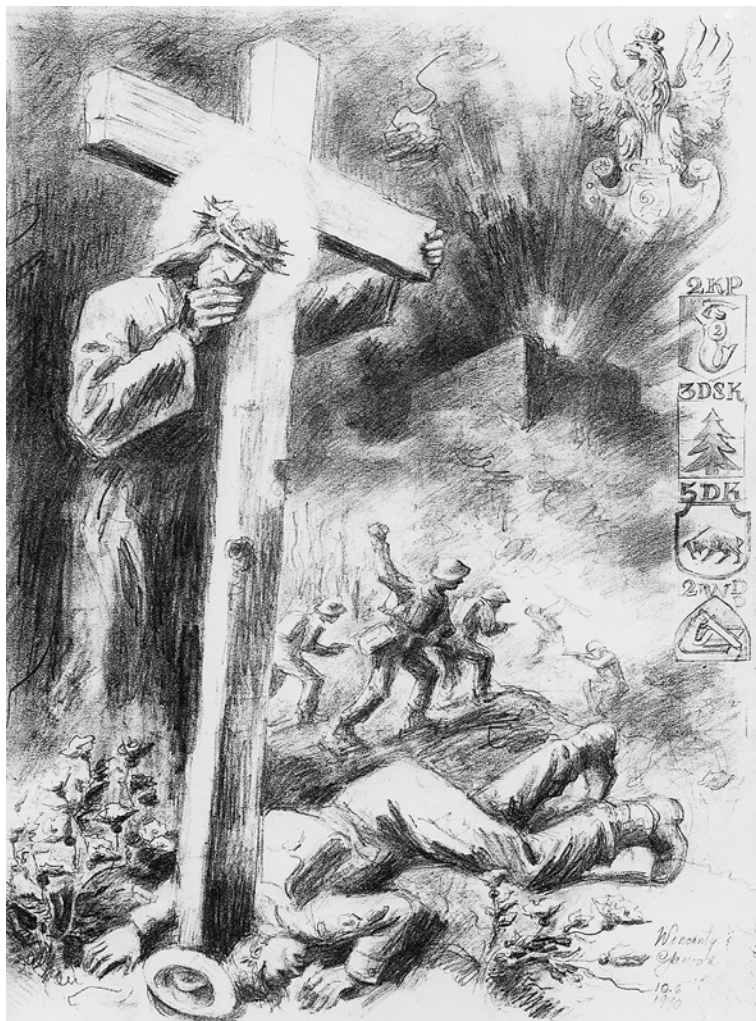


Przykład najwyższego heroizmu w najtrudniejszych warunkach obozowych w Oświęcimiu dał Ojciec Maksymilian Maria Kolbe - franciszkanin, który poświęcił swoje życie za więźnia Gajowniczka. Za udaną ucieczkę jednego z więźniów komando obozu zdziętkowało pozostałych. Los padł na więźnia Gajowniczka - ojca wielodzietnej rodziny. Widząc rozpacz tego człowieka, wystąpił przed szereg Ojciec Maksymilian i ofiarował za nieszczęśnika swe istnienie. Aureola nad głową Świętego i Chrystus wyciągający dłoń, by przyjąć ofiarę wiernego syna na tle dymiącego krematorium i więźniów czekających na swój los - to dalsza część „Polskiej Golgoty”.

Szturm na bagnety, zapoczątkowany przez węgierskich honwedów, zakończył bitwę. Dzieło zniszczenia było ogromne. Wiele tysięcy rannych i zabitych pozostało na polach Jabłońca i Podjabłońca (tam mieszkał Wincenty). Poszedł na pobjawisko z ojcem, który musiał z pomocą mieszkańców i jeńców wojennych zorganizować pochówek zabitym, na terenie wyznaczonym przez władze.

Wielki cmentarz ogrodzony murem z kamienia ciosowego, z okrągłą rotundą zwaną przez miejscowych kaplicą to smutna pamiątka tamtych tragicznych wydarzeń. Zaś Wincenty przez długie lata uwieczniał przy różnych okazjach zapamiętane z dzieciństwa sceny bitewne. ▶

▶ BITWA O MONTE CASSINO



Na zboczu wzgórza Monte Cassino znajduje się polski cmentarz wojskowy. Białe krzyże na mogiłach polskich chłopców przypominają, że tu nastąpił kres ich życia. Mieli 19, 20, 22, czasem trochę więcej lat. Śpią tam snem wiecznym. Odwiedzają ich polskie wycieczki. Ich uczestnicy przechodzą w milczeniu wśród mogił, odmawiają pacierz, zawieszają na krzyżach różańce lub wymieniają zniszczone przez czas, pałą znicze.

Jest cicho, smutno, spokojnie i tylko maki „są zawsze czerwone, bo z polskiej wzrosły krwi”.

POWSTANIE WARSZAWSKIE



Wróg zdewastował i rozgrabił wielowiekowy dorobek kulturalny i materialny kilkudziesięciu pokoleń Polaków. Czego nie dokonał podczas walk, uczynił potem bombardując umarłe miasto i wysadzając ocalałe w czasie powstania domy. Najdotkliwszą była śmierć tysięcy młodzieży walczącej w oddziałach i w służbie cywilnej. Wiele wywieziono do obozów pracy przymusowej lub obozów koncentracyjnych. Powstanie Warszawskie to kolejny przejmujący obraz „Polskiej Golgoty” rozegrany na oczach świata.

Rozwijającym się talentem chłopca zainteresowała się w szkole podstawowej nauczycielka p. Stanisława Gnoińska (późniejsza Olesiowa) i podarowała mu kredki do malowania, o jakich od dawna marzył. Zwróciła też uwagę rodzicom, by nie zmarnowali jego zdolności. Nie było to na rękę ojcu, który z ogromnym nakładem sił uprawiał ziemię, by wykarmić liczne potomstwo i marzył o innym zawodzie dla syna, zawodzie dającym mu pewny chleb. Na szczęście znalazł Wincenty sojusznika w osobie brata ojca - stryja Józefa „odmieńca” mieszkającego na Wałowej Górze, skąd do chleba było daleko, ale niebo wydawało się bliższe i Tatry wabiły z daleka swym pięknem. Stryj był domorosłym rzeźbiarzem. Ludziki, świątki, szopki, kapliczki, jakie często spotykało się przy wiejskich drogach,

czarownice, domki wróżące pogodę i cały baśniowy świat można było spotkać w domu stryja. Stryj ponadto kochał książki i mimo kłopotów finansowych zgromadził sporą bibliotekę.

Od niego to mały Wicek uczył się rzeźby. Jemu pokazywał swoje rysunki i cieszył się, gdy stryj chwalił i zachęcał do dalszej pracy. Wkrótce obok legionistów pojawiły się sylwetki żołnierzy różnych formacji zapamiętanych z bitwy o Wzgórze Jabłoniec.

Po pokonaniu różnych trudności, dzięki wielu wyrzeczeniom i pomocy całej rodziny rozpoczął w 1925 r. naukę w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych we Lwowie, a potem w Krakowie.

Jako uczeń tej szkoły przystąpił do konkursu na projekt witraża do kościoła garnizonowego w Krakowie. Uśmiechając się dobro-

tlowie Matka Boża adorowana przez żołnierzy zachwyciła komisję. Projekt otrzymał I nagrodę, ale, niestety, nie został zrealizowany. Zdobyte za pierwszą lokatę pieniądze przeznaczył na dalsze studia.

W 1935 r. Wincenty zdał egzamin wstępny i został przyjęty na II rok ASP w Warszawie. Wybrał grafikę, a swoje zdolności rozwijał pod kierunkiem takich sław jak: Stanisław Ostoja-Chrostowski, Tadeusz Kulisiewicz i Edmund Bartłomiejczyk.

Wówczas to wziął również udział w II Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu Współczesnego, otrzymując wyróżnienie specjalne.

Ponieważ były mu bliskie tradycje ruchu ludowego, wykonał 3 sztandary dla Stronnictwa Ludowego w powiecie limanowskim. Założył też w Warszawie niewielką wytwórnię sztandarów ludowych, którą jednak wnet trzeba było zlikwidować, bo zbliżała się II wojna światowa.

W czasie studiów sam zarabiał na życie i opłaty (ojciec już nie żył). Wykonuje ilustracje do tygodnika „Rola”, a także drzeworyty o tematyce harcerskiej, żołnierskiej i te najpiękniejsze związane ze świętami Bożego Narodzenia publikowane w różnych piśmiech i wydawane jako kartki świąteczne.

Jakże urokliwe były te drzeworyty osadzone w górskim pejzażu, jakby wyjęte z domowych tradycji, z kołęd śpiewanych ze starych kantyczek, jak na przykład drzeworyt Boże Narodzenie przedstawiający Świętą Rodzinę, Maryję patrzącą z miłością na Dziecinę błogosławiącą przychodzących pastuszków odzianych w lachowskie stroje, przynoszących skromne dary i nad tym jasno płonąca gwiazdę, albo „Noc wigilijna”, nie tam w Betlejem, lecz u stóp Giewontu. Potężny smrek na pierwszym planie, zadziwieni pasterze i betlejemka gwiazda oświetlająca góralską szopę, w której przyszedł na świat Bóg-Człowiek.

Inny drzeworyt przedstawia ubogi wiejski kościółek i ludzi podążających „na pasterkę” mimo fatalnej pogody. Jakiś drewniany płotek i kobieta z synem - żołnierzem, który wpadł do domu na okolicznościowy urlop. Wiatr targa połami jego płaszcza, wydaje się, że za chwilę straci rogatywkę z jego głowy, ale on idzie, by zaśpiewać w tę dziwną noc „Wśród nocnej ciszy”.

Wincenty Gawron aktywnie uczestniczył przed wojną w pracach Towarzystwa Ochrony Sztuki Ludowej w Warszawie, dla niego zaprojektował 35 plansz do „Atlasu strojów ludowych”.

Malował także na zamówienia liczne obrazy olejne, a także projektował witraże. W 1939 r. zaprojektował ich sześć, po dwa do kościołów w Limanowej, Paszynie i Dobczycach.

Jakże wymowne i piękne są te w jego rodzinnej parafii Limanowej. Jeden z nich „Polonia rediviva” - witraż Opatrzności przedstawia Boga Ojca, który błogosławi wiejską dziewczynę ubraną w strój ludowy. Dziewczyna trzyma wzbijającego się Białego Orła - godło naszego narodu. Opadające z jego nóg kajdany znamionują powracającą wolność. Niżej gromadka modlących się ludzi. U dołu napis: „OJCZYŻNE, WOLNOŚĆ pobłogosław Panie”. Ze względu na jednoznaczność obrazu, napis i nazwisko artysty, który musiał się wówczas ukrywać, witraż zamontowano dopiero po wojnie.

Drugi natomiast zatytułowany „Siewca - Matka Boża Siewna” został zamontowany w czasie okupacji. Przedstawia siewcę, rolnika rzucającego z płachty, zamasztywym ruchem, spracowaną, żyłastą dłoń ziarno w glebę, w górze Matka Boża błogosławiąca tę zbożną pracę, a nad jej głową wianuszek jaskółek. Siewca to podobizna ojca artysty, a oblicze Matki Bożej to twarz jego ukochanej matki. Tak syn zaakcentował swoją miłość do tych, którzy byli mu zawsze ostoją i wzorem.



Wincenty Gawron w czasie II wojny światowej.

Należy podkreślić, że artysta często w swoich dziełach dawał różnym postaciom rysy rodziców i sióstr.

II wojna światowa przerwała systematyczną pracę artystyczną Wincentego Gawrona. Już w listopadzie 1939 r. wstąpił do tajnej organizacji Związku Czynu Zbrojnego i organizował jej bojówki na terenie powiatu limanowskiego i części nowosądeckiego. Ta działalność zakończyła się wielką „wspumą” i aresztowaniem artysty w styczniu 1941 r. przez gestapo w Limanowej. Po przetransportowaniu do więzienia w Nowym Sączu wielokrotnie przesłuchiwany, torturowany i dotkliwie pobity (m.in. uszkodzenie tchawicy) nie wydał nikogo.

Następnym etapem było więzienie w Tarnowie, a stamtąd już 5 kwietnia 1941 r. z transportem więźniów pojechał do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie przestał być człowiekiem, a stał się numerem 11237.

Mordercza praca, dotkliwy ziąb lub upał, brak ciepłej odzieży, skąpe racje żywnościowe, o ile takimi można nazwać chochłę wodzianki z gnijącej kapusty i brukwi, kromkę kwaśnego chleba, choroby, a nade wszystko ciągła niepewność życia, strach, okrucieństwo „rasy panów” to codzienne przeżycia obozowych dni.

On, górski orzeł kochający wolność i swobodę, czuł się tak, jakby nagle obcięto mu skrzydła, a na grzbiet włożono olbrzymi głaz, którego nie można zrzucić. Nie mógł się z tym pogodzić i marzył, jak wszyscy o ucieczce.

Było to zadanie bardzo trudne, niemal niewykonalne. Tytu więźniów planowało to samo i chociaż czasem udało im się wydostać poza druty obozu, to wracali schwytani i ginęli pod „ścianą śmierci” lub w komorze gazowej.

Pracował w różnych ciężkich komandach. Poznał wielu wybitnych ludzi (np. wielkiego rzeźbiarza Ksawerego Dunikowskiego), którym wróg zapisał ten sam los. W końcu przydzielono go do obozowej stolarni, gdzie zasłynął jako rzeźbiarz i portrecista. Nawet Niemcy poznali się na jego talencie i zaczęli przynosić mu różne fotografie z poleceniem wykonania portretów własnych żon, dzieci, znajomych, kochanek. Zamawiali też różne rzeźby (noże do papieru, kasety, drzeworyty itp.). Naturalnie musiał je robić poza swoją zwykłą pracą w stolarni. Jako „zapłatę” otrzymywał 2 kromki chleba, cebulę, czasem dodatkową miskę wodnistej zupy lub całkiem wyjątkowo kilka kostek cukru.

W obozie wykonał dla siebie kilkanaście drzeworytów tematycznie związanych z górami. Rysował też karykatury oprawców, scenki obozowe, a przed Bożym Narodzeniem kartki świąteczne. Niewielką część jego obozowych prac zamieściła Janina Jaworska w albumie „Nie wszystkim umrę” (Książka i Wiedza Warszawa 1975 r.). Album ten obrazuje twórczość artystyczną Polaków w hitlerowskich obozach śmierci.

Przeżycia obozowych dni spisywał Wincenty Gawron na skrawkach zdobytego papieru. Obozowy pamiętnik dokładnie oddaje kosztmar więziennego bytowania. Ukrywał go w wydrążonej desce, pięknie ozdobionej z zewnątrz płaskorzeźbą górala.

W Oświęcimiu poznał sławnego bohatera AK — Witolda Pileckiego, który celowo dał się ująć w ulicznej łapance, by dostać się do Oświęcimia „na ochotnika”, aby tam na rozkaz dowództwa Armii Krajowej założyć tajną organizację pomagającą więźniom, a równocześnie ogłosić światu prawdę o zbrodniach hitlerowskich.

„Spałem z nim na jednym sienniku. To on umożliwił mi ucieczkę” - wspomina w swym pamiętniku „Rok w pasiakach” liczącym 279 stron maszynopisu. Czas był już najwyższy do ucieczki, bo „rozwalki” trafiały się coraz częściej, a więźniów, którzy „za długo żyli” po prostu likwidowano.

Udało mu się przenieść do komanda obozu w Harmęże (jeden z 40 podobozów Oświęcimia) znajdującego się poza drutami głównego więzienia. Tam też w dniu 12 maja 1942 r. z małego domku - zameczku przedostał się przez wybite okno w stolarni i razem ze swym kolegą Stefanem Bieleckim z Warszawy, wykorzystując nieuwagę Niemców, uciekli i ukryli się w pobliskim stawie zarosniętym szuwarami.

Wincenty zabezpieczył i zabrał ze sobą deskę z pamiętnikiem. Razem z kolegą brodzili w głębokiej wodzie od czasu do czasu wysuwając głowy, by zaczerpnąć powietrza. Próbowali też oddychać przez wydmuchaną „duszę” tataraku. Mimo pościgu udało im się przedostać do pobliskiego lasu i choć ucieczka graniczyła z samobójstwem, zakończyła się pomyślnie.

Wincenty Gawron nie pokazał się w swym rodzinnym domu, było to zbyt ryzykowne. Po tygodniowej wędrówce, unikając szos i ludnych wsi, dotarł do swego kuzyna Staszka Twaroga w Koszarach koło Łososiny Górnej, gdzie zatrzymał się na krótko, by wypocząć. Dom kuzyna nie nadawał się jednak na kryjówkę, bo był blisko drogi i sąsiedował z innymi domami. Na melinę wybrał dom

przyjaciela Jana Wróbla w Mordarce. Przybył tam w dniu 24 maja 1942 roku w same Zielone Świątki. Gdy szedł nocą przez uśpioną wieś, widział drzwi i okna umajone brzoźowymi gałązkami, minął dom swej siostry Marii, do której teraz nie mógł nawet wstąpić, by jej nie narażać na potencjalne niebezpieczeństwo utraty życia i pełen wewnętrznego szczęścia pospieszył do oddalonej chaty „na półko” do swego przyjaciela.

Po powrocie do sił ukrywał się w pobliskich wsiach – Jarorznej, Żmiącej, a potem w powiecie nowosądeckim w Czarnym Potoku i Kicznej.

Ukrywając się ustawicznie, zorganizował w odległej i niedostępnej Kicznej oddział dywersyjny AK i został jego dowódcą, przybierając nazwisko „Kowalewski”.

Odbicia więźniów, kontyngentów żywności, śmiałe akcje na niemieckie posterunki, szybka zmiana miejsca pobytu to codzienne życie ludzi walczących z przeważającymi siłami wroga, chcących wszelkimi siłami przyspieszyć moment wyzwolenia, który był już coraz bliższy.

Na wiosnę 1944 r. placówka partyzancka w Łukowicy, którą dowodził Wincenty Gawron, została zdekonspirowana, w dodatku dochodziły wieści o przygotowaniach do powstania w stolicy, dlatego udał się tam, by służyć Ojczyźnie w potrzebie.

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie (1 sierpnia 1944 r.) był w grupie „Koło” na Starym Mieście. Potem razem z oddziałem, gdy już dłużej nie można było się bronić, wycofał się kanałami do Śródmieścia, gdzie pracował w rusznikarni na Mokotowskiej 45.

Po upadku powstania dostał się do obozu w Pruszkowie, skąd udało mu się zbiec. Nie był to jeszcze koniec wojennych przeżyć. Gdy wydawało się, że przyszła wolność i będzie można poświęcić się pracy dla kraju, został niespodziewanie aresztowany przez NKWD w kwietniu 1945 r. I tym razem uciekł. Wiedział już jednak, że nie ma dla niego życia w Polsce.

Przedwojenna działalność na rzecz ludowców, wolnomyślnie zapędy, AK-owska przeszłość, czynny udział w Powstaniu Warszawskim, to zbyt dużo, by komunistyczna władza pozwoliła mu żyć w kraju.

To nic, że walczył z wrogiem, że był więziony i poniewierany, dla nowych, ludowych, komunistycznych władz był człowiekiem niebezpiecznym.

Dlatego, choć ciężko mu było opuścić bliskich i ukochany kraj, wybrał trudną rolę emigranta. Przez „zieloną granicę” dostał się do Czechosłowacji, następnie do strefy niemieckiej okupowanej przez Anglików. Potem był jeszcze obóz dla oficerów w Mumau, Włochy i II Korp. gen. Andersa, gdzie pracował w Oddziale Kultury i Prasy.

Następny etap to Anglia, potem wyjazd do Kanady (1948 r.) za sprawą szwagra siostry Kunegundy. W Kanadzie początkowo mieszkał i pracował w Recliff, a potem w Medecine Hat (prowincja Alberta). W 1956 r. przeniósł się do USA i na stałe osiadł w Chicago.

Działalność artystyczna Wincentego Gawrona za Oceanem była bardzo różnorodna. Rozwijał sztukę sakralną, zaprojektował wiele witraży do kościołów USA. Był też wykonawcą fresków w kilku świątyniach.

Na uwagę zasługuje wykonany całkowicie przez artystę z posrebrzanej blachy główny ołtarz do nowo budowanego kościoła w Medecine Hat (Kanada).

Opracowywał wystrój plastyczny różnych międzynarodowych wystaw, a równocześnie rozwijał największą pasję swego życia — zbieractwo militariów. Interesowały go od dziecka. Zaczął je zbierać na długo przed drugą wojną światową. Orzelki, szable, mundury,



Rysunek z książki Wincentego Gawrona pt. „Pieśń walczących Gorców”, którą napisał pod pseudonimem Wit Podjabłoniecki.

helmy, odznaki pułkowe, stare fotografie legionowe, naramienniki i inne żołnierskie akcesoria - to cały świat zapalonego zbieracza.

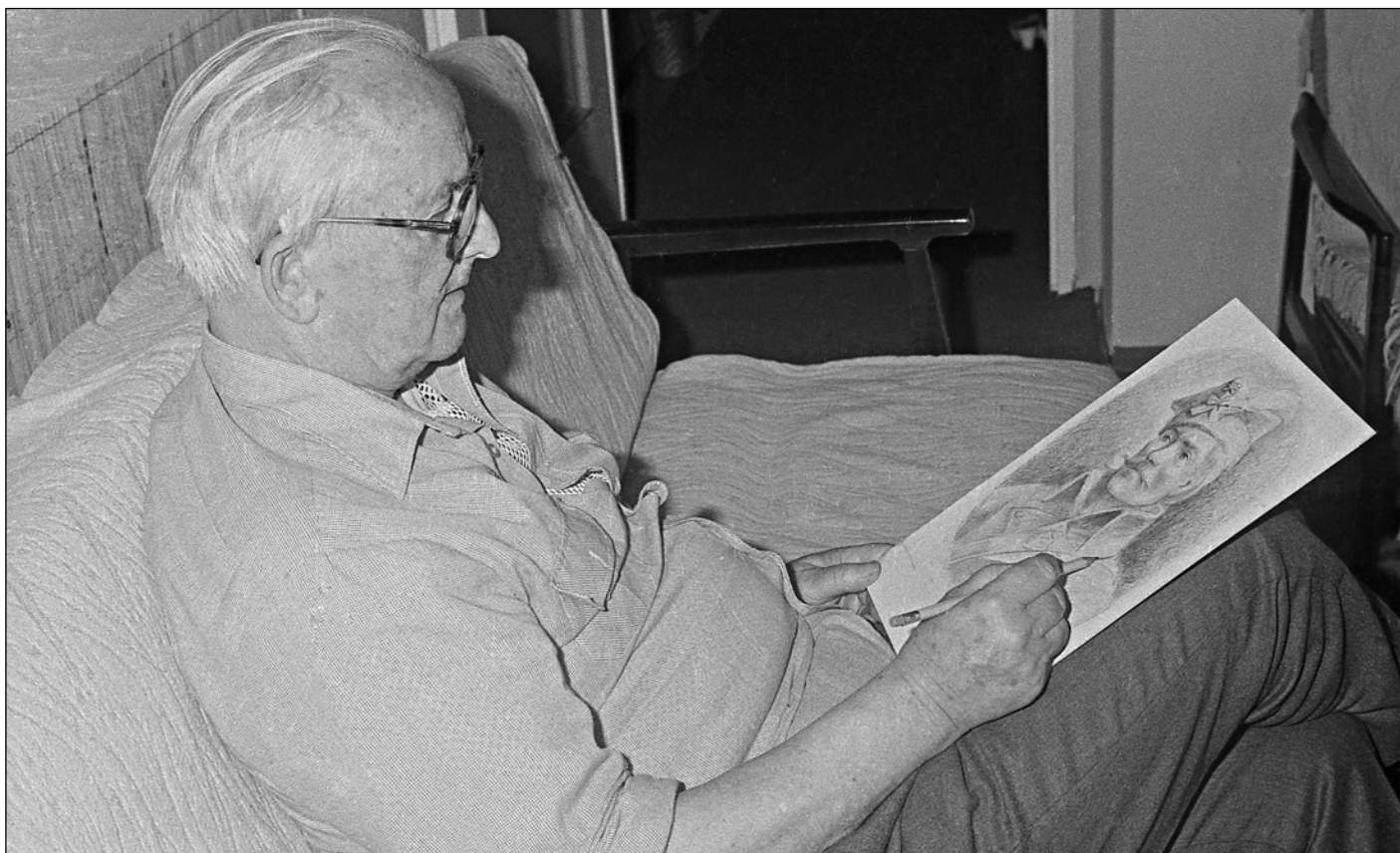
Nie przerwała tej pasji nawet najokrutniejsza z wojen. Kontynuował ją w czasie okupacji w kraju, za granicą, a potem w trakcie częstych przyjazdów do Polski. Jego zbiory stały się załącznikiem Muzeum Ziemi Limanowskiej, muzeum parafialnego w Limanowej i Dobrej.

Opuszczając nielegalnie kraj, zabrał ze sobą, jak talizman, garść orzełków od czapek żołnierskich z różnych okresów dziejów polskiego oręża.

Ta wielka życiowa pasja towarzyszyła mu pod włoskim niebem w San Giorno, gdzie stacjonował II Korpus. Zdobywał, wymieniał polskie orzełki na te, które przeszły chrzest bojowy.

Ze wzruszeniem wspominał, jak to w Anglii za odznakę I Pułku Ułanów Beliny zdobył orzełka, z którym świeżo poznany porucznik przywędrował z Ziemi Świętej.

Z upływem lat z amatora stał się wytrawnym kolekcjonerem. Przez cały czas pobytu w USA aktywnie uczestniczył w życiu Polonii. Był członkiem Związku Weteranów Armii Polskiej w Chicago. Pragnął przybliżyć historię polskiego oręża Polakom mieszkającym na obczyźnie. Odwiedzał więc jarmarki militarne w USA i śledził ślady Polskiego Wojska. Zdziwił się, że jest ich tak wiele. Odkupował mundury, szable, odznaki, od czasów Powstania Styczniowego, aż po II wojnę światową. Ekspонатów było wiele, ale zabrakło zasobów finansowych i wówczas, jak to bywało w jego życiu, przeplatały się dwa pojęcia „niestety” i „na szczęście”, przyszło to drugie - „na szczęście” otrzymał odszkodowanie za pobyt w Oświęcimiu, o które ubiegał się już od dłuższego czasu. Zdobyty grosz przeznaczył na kupno militariów. Wreszcie zrealizował najdawniejsze marzenie. Otworzył pierwsze prywatne Muzeum Wojska Polskiego im. Marszałka Piłsudskiego w Chicago (potem największe w świecie). W 1971 r. zorganizował wystawę wszystkich swoich zbiorów. ►



Wincenty Gawron (1908-1991), w czasie ostatniego pobytu w Polsce.

Fot. Jan Uryga

Szczęśliwy z powodu realizacji zamierzeń wybrał się w 1973 r. do Polski. Był to jego pierwszy pobyt na ziemi ojczystej od 1945 r.

Przywiózł część swoich zbiorów jako dar i na wymianę. Zakupił kolekcję orzełków i przypłacił to konfiskatą wszystkiego i 6-miesięcznym pobytom w więzieniu. Nie miał jeszcze wtedy obywatelstwa USA, bo się o nie nie ubiegał. Dopiero po tym wydarzeniu, mądrzejszy o jedno bolesne doświadczenie, otrzymał je bez problemów. Władze polskie potraktowały go jako przestępcę, handlarza. Na nic zdały się tłumaczenia, że to do własnego muzeum, że przywiózł zbiory, które zakupił na innym kontynencie i zostawił je Polsce, wreszcie, że ofiarował Muzeum Martyrologii w Oświęcimiu kilkanaście obrazów przedstawiających sceny z okupacyjnych lat. To przeżycie odebrało mu całą radość z pobytu w Ojczyźnie. Dobrze, że czas zrobił swoje i artysta zapomniał o doznanej krzywdzie.

Po powrocie do USA przypominał Polakom i światu o ważnych datach historycznych. Organizował wystawy cieszące się powodzeniem wśród Polonii.

Zaprojektował piękną winietę czasopisma „Orzeł Tatrzański”, okładkę do książki ks. dr. Pawła Ilińskiego pt. „Znaczenie chrztu Polski”, a z okazji pobytu Jana Pawła II w Ameryce kopertę płyty gramofonowej pt. „Papież z Polski”.

Udzielał się w pracach Klubu Numizmatycznego w Chicago jako kurator, ekspert i znawca eksponatów numizmatycznych.

Zaprojektował też emblemat do miesięcznika PANA. W dziele medali wykonał projekt strony awersowej pierwszego medalu Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Chicago oraz medalu Milenijnego 1966 r. wybitego dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego.

Jego dziełem jest też projekt frontowej strony medalu Bitwy o Monte Cassino (1969 r.).

Chcąc uczcić 45. rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego namalował portret Marszałka i zaprosił na jego odsłonięcie w swoim Muzeum członków PANA.

Mając na względzie znaczenie Bitwy o Monte Cassino zaprojektował w 1984 r. drewniany żeton przedstawiający górę i klasztor Monte Cassino, a po prawej stronie na tle murów Warszawy znak Polski Walczącej.

W tym też roku wykonał przepiękną odznakę z okazji najazdu Niemców na Polskę w 1939 r. Odznaka ma kształt mapy Polski z ułanem na koniu broniącym zachodniej granicy. Projektował też inne medale np. z okazji lądowania człowieka na księżycu, a także serie znaczków pocztowych.

Poza wymienionymi dziedzinami Wincenty Gawron był również literatem. Pisał liczne opowiadania do różnych wydawnictw polskich w USA. Ogłosił pamiętniki pt. „Wspomnienia z lat chmurnych 1914-1940” oraz „Rok w pasiakach”.

Ciekawe są także jego powieści np. „Cicha noc” (z Dzikiego Zachodu), „Ochotnik do Oświęcimia” (o Witoldzie Pileckim), sensacyjno-fantastyczne dla młodzieży, a także utwory sceniczne - „Żywią i bronią” oraz „Pieśń walczących Gorców”.

Mimo iż mieszkał z dala od rodzinnego kraju, nie zapomniał o swoich korzeniach. W chicagowskim domu chętnie używał gościny rodakom przyjeżdżającym z ojczyzny. Był dla nich przybranym „wujkiem”.

Utrzymywał stałe kontakty z Polską i wszystko był gotów zrobić dla zakątka skąd pochodził - Limanowszczyzny. Chcąc zaakcentować swą przynależność do tamtych stron, namalował piękny portret Władysława Orkana — piewcy gorczańskiego świata. Zilustrował I i II zeszyt „Materiałów etnograficznych z powiatu limanowskiego” wydawanych przez Towarzystwo Ludoznawcze we Wrocławiu.

Brał również udział w wielu historycznych imprezach w Polsce.

Z okazji 70-lecia „cudu nad Wisłą” przywiózł na wystawę organizowaną przez Muzeum Narodowe w Warszawie mundury Hallerczyków ze swoich zbiorów (w tym dwa gen. Hallera), a także atrakcyjny upominek 2,5 godz. przedwojenny film o Legionach - „Rok 1914”.

Odnalazł go Jan Lejda, który po opuszczeniu „Mazowsza” znalazł pracę w bibliotece Związku Narodowego Polskiego. Tam, przeglądając zapomniane taśmy, trafił na urywki filmów legionowych składających się na biografię Józefa Piłsudskiego. Od niego to za stroje krakowskie potrzebne do wystawienia „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego otrzymał Wincenty Gawron film o Marszałku. Stroje krakowskie zdobył w Muzeum Etnograficznym w Krakowie za wspaniały strój wodza indiańskiego. Po uzyskaniu zgody Ministerstwa Kultury i Sztuki na ich wywóz, stroje znalazły się w Chicago, a film o Marszałku w telewizyjnym studiu im. Andrzeja Munka w Warszawie i dzięki temu obejrzała go cała Polska.

W ostatnim okresie swego życia odwiedzał Polskę i Limanową w każdym roku. Zawsze kochał góry i ciągle do nich wracał uważając, że tu jest najpiękniej. Wydawało mu się, że tutaj, wśród swoich, żyje mu się lepiej i lżej oddycha

Ciągle powtarzał, że jego Ojczyzna w trakcie swego ponad 1000-letniego istnienia przeszła wielokrotnie swoją Golgotę, ale najgorszy był okres od 1939 roku do pierwszych powojennych lat. Polacy przeszli wówczas swoistą „Polską Drogę Krzyżową”. Zapomniani przez wszystkich walczyli samotnie o swój byt, o swe istnienie, o miejsce w historii świata, o wolność naszą i waszą.

Walka o wolność „waszą” wnet została nam zapomniana. Gdy niebezpieczeństwo minęło, staliśmy się niepotrzebni. Kiedy z odmetów II wojny światowej wyłaniał się nowy świat, nikt nie stanął w obronie Polski.

Na nic się zdały miliony ofiar w obozach koncentracyjnych, katowniach gestapo, syberyjskich łagrach i komunistycznych więzieniach. Supermocarstwa postąpiły tak, jak było im wygodniej. Na prawdziwą Polskę trzeba było czekać 45 lat.

Myśl o tej trudnej drodze zaowocowała cyklem obrazów, które artysta tak właśnie zatytułował - „Polska Droga Krzyżowa”. Cykl kończy się wizerunkiem Papieża — Polaka, który wkroczył na glob ziemski, by siać ziarno dobra.

W marcu 1991 roku artysta zaprojektował dla bazyliki limanowskiej pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej owalny witraż, który został zamontowany w jednej z kaplic świątyni i uświetnił obchody 200. rocznicy Konstytucji 3 Maja. Warto bowiem zaznaczyć, że nowy kościół limanowski został wybudowany z myślą o zaakcentowaniu 100-lecia Konstytucji 3 Maja w czasie zaboru austriackiego i poświęcony Matce Boskiej Bolesnej, która wyprasza u swego Syna wiele łask dla gromadzącego się u Jej stóp ludu.

W czerwcu 1991 r. Wincenty Gawron znów odwiedził ojczysty kraj. Mimo sędziwego wieku miał jeszcze wiele planów wydawniczych i artystycznych. Los chciał inaczej.

Pojechał, jak zawsze, odpocząć w Krynicy i nagle zmiana klimatu zrobiła swoje. Miłość do gór okazała się jednostronna. Zachorował i przewieziono go do szpitala w Krynicy, potem do Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Nowym Sączu. Wylew do mózgu i paraliż stał się bezpośrednią przyczyną śmierci. Zmarł 25 sierpnia 1991 roku. Jego pogrzeb zgromadził tłumy życzliwych mu ludzi. W ostatniej drodze towarzyszyły mu poczty sztandarowe kombatanów AK, delegacja więźniów oświęcimskich, a także członkowie zespołu regionalnego „Limanowianie”. Stosowne utwory muzyczne grała na skrzypcach solistka, a towarzyszył jej doborowy chór.

Spoczął wśród tych, których obdarzał największym uczuciem, wśród żołnierzy w kwaterze wojskowej limanowskiego cmentarza.

Kiedy trumnę składano do grobu, odezwały się góralskie trombity i wydawało się, że wraz ze smętną melodią unosi się duch wielkiego Polaka, patrioty i artysty.

„Polska Droga Krzyżowa” Wincentego Gawrona dobiegła końca.



Płyta nagrobna na mogile Wincentego Gawrona w kwaterze wojskowej na limanowskim cmentarzu parafialnym. Z tyłu pomnik w postaci ściany z kamienia ciosanego, w którym znajduje się obraz Franciszka Mrazka - „Chrystus pochylony nad rannym żołnierzem”.



Błękit na szczycie

XV Rajd Górski im. Józefa Staniszewskiego



„Co jest na szczycie? Dokąd droga wiedzie? Tylko błękit nieba w nieskończoności wielkiej” – pod takim hasłem 25-26 września odbył się XV Rajd Górski im. Józefa Staniszewskiego, w czasie którego ponad 320 miłośników gór z 3 szkół średnich i 7 gimnazjalnych przemierzało trasy Beskidu Wyspowego, Sądeckiego, Gorców i Pienin.

- Impreza była bardzo udana, a pogoda chyba po raz pierwszy dopisała. Młodzi turyści zdobywali m.in. Mogielicę, Lubogosz, Turbacz, Przehybę i Trzy Korony. W ten sposób popularyzujemy turystykę i walory krajobrazowe naszego regionu. Cena jest też integracją międzyszkolną – ocenił komandor rajdu Andrzej Nawaleniec.

Entuzjazmu nie brakowało też uczniom zdobywającym rajdowe szczyty.

- To najlepsza nauka historii i geografii, bo przecież najłatwiej uczyć się w praktyce. Warto przeżyć te dwa dni, które zostawiają w naszym życiu niezapomniane wspomnienia – twierdziły Anka i Natalia.

- Wspaniałe widoki na trasie, piękna pogoda. Było super! Za rok, jeśli będzie możliwość, również pójdę – deklarował Piotr Michałka.

- Rajd dostarczył wiele pozytywnych wrażeń. Atmosfera na trasie była fantastyczna, choć przecież szły grupy z różnych szkół – mówił Mateusz Mąka.

- Po raz trzeci uczestniczyłem w rajdzie i po raz trzeci nie żałuję – kwitował Leszek Zajac.

Uczestnicy rajdu spotkali się na podsumowaniu w I Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej. Dyrektor szkoły Stanisław Szewczyk przypomniał postać profesora Józefa Staniszewskiego – nauczyciela matematyki, wychowawcy, fotografika i regionalisty, którego imię nosi impreza. Najlepsze drużyny rajdowe otrzymały pamiątkowe puchary od władz miasta, powiatu i kuratorium. W tym roku wśród gimnazjalistów zwyciężyli „Łowcy przygód” z Gimnazjum w Dobrej, a wśród młodzieży szkół średnich – drużyna „Kółko Rolnicze” z I LO. Nagrodę specjalną za najoryginalniejszą nazwę Wydział Promocji UM przyznał grupie „Turbodometry” z Gimnazjum w Tymbarku.

Jak co roku głównym organizatorem rajdu było I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana przy współdziałaniu Urzędu Miasta, Starostwa Powiatowego, Związku Limanowian i ZO PTTK w Limanowej.

A kolejny Rajd im. prof. Staniszewskiego już we wrześniu... przyszłego roku.

**Tekst: Jolanta Bugajska
Zdjęcia: Maciej Widomski**



Okruchy pamięci

Limanowa na nowszej fotografii

To tytuł drugiego tomu albumu historycznego miasta, jaki ma być wydany przez Urząd Miasta. Przygotowany przez ten sam zespół redakcyjny w nieco zmienionym składzie ukaze się prawdopodobnie na początku lata przyszłego roku. Konwencja albumu zachowana będzie w stylu podobnym do tomu pierwszego „Limanowa na starej fotografii”. Zachowana zostanie forma i układ graficzny, archiwalne fotografie będą również czarno-białe i w odcieniach sepii.

W poprzednim wydaniu zaprezentowaliśmy nieistniejącą już Limanową – miasteczko galicyjskie i ludzi z nim związanych oraz wydarzenia, jakie w tym czasie miały tu miejsce. Tym razem pokazemy Limanową taką jaką jest dzisiaj, w zasadzie zmiany jakie nastąpiły na przestrzeni lat, głównie w drugiej połowie XX wieku, kiedy z romantycznego, biednego, małego miasteczka zaczęło się dynamicznie przekształcać w niewielki, ale nowoczesny ośrodek miejski. Wtedy (początek lat sześćdziesiątych) powstała większość obiektów i instytucji umożliwiających pełnienie funkcji zaspokajających aspiracje i oczekiwania mieszkańców. Wówczas w Limanowej miały miejsce wydarzenia, które zawierały ogromny ładunek dążenia do zmian.

Prace zespół zamierza rozpocząć od gromadzenia fotografii z prywatnych zbiorów limanowian oraz instytucji (przeglądając kroniki, albumy pamiątkowe itp.). Zespół częściowo będzie miał ułatwione zadanie, bowiem w poprzednich pracach zostały już zgromadzone fotografie, które pragniemy pokazać w drugiej części przygotowywanego albumu.

Limanowianie mogą być dumni, że mają tak wiele do zaprezentowania innym. Należy wymienić takie wydarzenia, które warto zaprezentować np.: odbudowa zniszczeń po II wojnie światowej, Bank Miast „440”, rekonstrukcja limanowskiej Piety, związki Jana Pawła II z Limanową, budowa kościoła w Sowlinach oraz monumentalnego Krzyża na Miejskiej Górze, organizacja życia sportowego i kulturalnego w mieście, ruch Solidarności i stan wojenny w Limanowej, bywali w Limanowej – a więc osoby o uznanym autorytecie itp.

Będzie to bogaty obraz Limanowej, zaś komplet dwutomowego zestawu albumów wypełni w całości lukę na rynku wydawniczym. Zrealizuje się także pomysł autorów albumu „Limanowa na starej fotografii”, którego tytuł miał być „Limanowa XX wieku”.

Stanisław Ociepka



Budowa Domu Towarowego w Limanowej.

Fot. Leon Szewczyk



Powyżej: Ołtarz uroczystości Bożego Ciała na limanowskim rynku.

Poniżej: Grupa limanowian idąca na Błonia krakowskie na uroczystość rekonstrukcji Piety limanowskiej - 1983 rok.

Fotografie: Zbigniew Sułkowski



► Spotkanie po trzydziestu latach...



czająca nas rzeczywistość wpłynęła na nasze wybory, czy były one słuszne i jak zaowocowały. Bo przecież na tle historii ojczyzny każdy z nas budował codziennym trudem swoją osobistą historię. Na koniec nasz kolega kapłan wszystkim podziękował, poczynawszy od naszych rodziców, profesorów, katechetów i sobie nawzajem. Podziękował za wspólnie przeżyte, piękne lata szkolne, za więź, która nas wszystkich wciąż łączy, za osobiste przyjaźnie, częste spotkania, wzajemną pomoc i praktyczne wspieranie się w trudach codziennego życia. Powierzył nas, nasze troski, radości i smutki Pani Limanowskiej, abyśmy w zdrowiu i życiowej pomyślności mogli doczekać następnych spotkań.

Wspomnień czar opanował wszystkich w miejscu mniej już oficjalnym, gdzie wspólnie z naszymi profesorami, w radosnym nastroju przypominaliśmy sobie lata spędzone w szkole... Do następnego spotkania kochani.

Jak czas lubi nam płatać figle... Spotkaliśmy się po trzydziestu latach od egzaminu dojrzałości. Jak to szybko minęło, wydaje się, jakby to było wczoraj, no może przedwczoraj. Wydawało się nam wtedy, że jesteśmy tacy dorośli i wcale nie sięgaliśmy w swoich przemyśleniach trzydziści lat do przodu. Ba, nawet ci, którzy wtedy mieli trzydzieści lat więcej, byli dla nas prawie w ... podeszłym wieku!

Spotykaliśmy się już z okazji innych jubileuszy, ale to spotkanie było szczególne, ze względu na obecność profesorów, którzy przed trzema dziesiątkami lat kształtowali nasze charaktery i sumienia starali się doprowadzać nasze umysły do stanu wypełnienia wiedzą. Zaszczycili nas swoją obecnością prof. Elżbieta Duda, Anna Winiarska, Ewa Hajdyło, Henryk Jurowicz, Stanisław Ocieпка i Aleksander Banaś. Wielu naszych wspaniałych profesorów niesie kaganek oświaty na innym, lepszym świecie, ale pamiętamy o Nich i złożyliśmy Im podziękowanie na limanowskim cmentarzu. Koniecznie trzeba tu wspomnieć o naszym nieodżałowanym wychowawcy, profesorze Andrzeju Gibasie, Zofii Rysz, która też opiekowała się naszą klasą, Jądwidge Kowalczyk, polonistce której nikt nie zapomni, Józefie Zbosiu, Marii Czerw i dyrektorze Adamie Biedroniu.

Uroczę są wspomnienia. Rozpoczął je nasz kolega ze szkolnej ławy ks. płk prałat January Wątroba w czasie skierowanego do wszystkich obecnych słowa bożego na mszy świętej odprawianej w Bazylice M. B. Bolesnej w Limanowej. Uświadomił nam, w jak ciekawych, ale i trudnych społecznie i politycznie czasach przyszło nam przeżyć te trzydzieści lat. Odnosząc się do trwającego niewiele krócej pontyfikatu Jana Pawła II, który rozpoczął się w roku naszej matury pozwolił nam uświadomić sobie, jak ota-

Tekst: Bożena Zoń

Fotografie: Małgorzata Sułkowska

Obecni byli: *Alina Gawron, Stanisław Dębski, Krystyna Gęsiak, Maria Janczy, Józef Kaim, Barbara Kolarz, Cecylia Kotfisz, Marta Lebda, Wiesław Murzyn, Paweł Odziomek, Mariusz Rosiński, Halina Siciarz, Janina Setlak, Władysława Ścianek, Maria Tomaszek, Natalia Twaróg, Danuta Wąchala, January Wątroba, Bożena Zajac.*



Jubileusz

13 września świętowano jubileusz 20-lecia istnienia „Gazety Limanowskiej”, jednocześnie obchodzono 5-lecie działalności „Limanowskiej Akcji Charytatywnej”.

Na uroczystość przybyli: twórcy i sympatycy gazety, posłowie na Sejm RP, przedstawiciele samorządu miasta i powiatu, wolontariusze oraz zaproszeni goście. W holu Limanowskiego Domu Kultury gości powitał zespół „Limanowianie”. Wzniesiono toast z urodzinowym tortem i fajerwerkami, życząc „Sto lat...”. Następnie w sali widowiskowej LDK odbył się program artystyczny w wykonaniu przedszkolaków z Tymbarku poświęcony Gazecie Limanowskiej. Redaktor naczelna, a zarazem prezes LACH Teresa Zabramny przedstawiła historię gazety oraz stowarzyszenia. Wystąpienie ubarwione było przez młodego limanowskiego artystę kabaretowego Krystiana Wiktora, który do prezentacji Teresy Zabramny wniósł żart. W czasie wystąpienia cały czas prezentowane były na ekranie archiwalne strony gazety. Część oficjalną poprzedził krótki recital piosenkarski Joanny Ligas. Redaktor naczelna gazety złożyła podziękowania współtwórcom gazety. Następnie życzenia i wyrazy uznania na ręce Teresy Zabramny złożyli zaproszeni goście, wyrażając podziw za społeczne działania zarówno redaktorów Gazety Limanowskiej jak i wolontariuszy Limanowskiej Akcji Charytatywnej. Spotkanie zakończył występ zespołu „CyjeZbójce”.

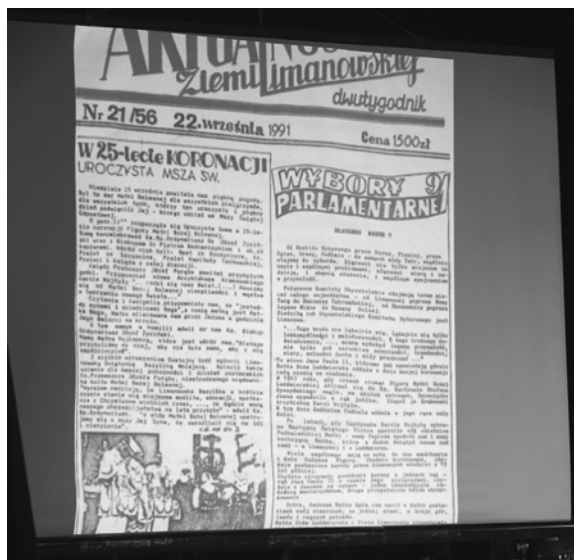


Gazeta limanowska została zarejestrowana w 1989 roku w Sądzie Rejestracyjnym pod numerem jeden. Miała wówczas prawo do używania znaczka „Solidarności”. Czasopismo to wówczas nosiło nazwę „Aktualności Limanowskie” i ukazywało się co dwa tygodnie. Przygotowanie gazety odbywało się w skromnych jak na możliwości tamtego okresu warunkach technicznych.

Założycielami „Aktualności” byli Zbigniew Sułkowski (przez jakiś czas pełnił rolę redaktora naczelnego), Roman Szuszkiewicz i Grzegorz Biedroń. Następnie redaktorem naczelnym został Roman Szuszkiewicz, później Grzegorz Biedroń, który pełnił tę funkcję do wyboru na burmistrza Limanowej. Wówczas to rolę redaktora naczelnego przejęła i pełni do dnia dzisiejszego Teresa Zabramny. Przez wiele lat zespół redakcyjny tworzyli także: Renata Strug, Barbara Brożek i Julian Jaworz-Dutka.

Po pewnym czasie zmieniono nazwę gazety na „Aktualności Ziemi Limanowskiej”, aby ostatecznie nadać jej tytuł „Gazeta Limanowska”. Obecnie gazetę redagują głównie młodzi ludzie, uczniowie limanowskich szkół średnich. Stroną graficzną gazety zajmuje się Marta Florek, która przygotowuje gazetę do druku.

Material przygotowany w oparciu o tekst Teresy Zabramny
Fotografie: Jakub Toporkiewicz



Redaktorzy „Echa Limanowskiego” Ryszard Kulma i Stanisław Ociepka przekazali na ręce Teresy Zabramnej, redaktorki naczelnej „Gazety Limanowskiej” rocznik „Echa”.



Stacja Drogi Krzyżowej prowadzącej na szczyt Miejskiej Góry - stan obecny.

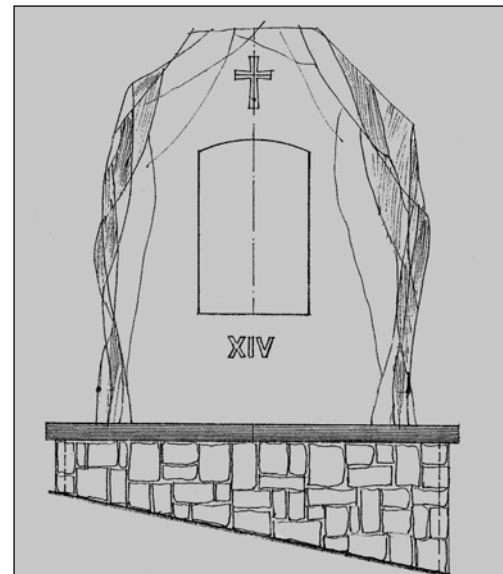
Limanowska Kalwaria – nowy projekt

Kulma: *Chcemy, aby Droga Krzyżowa na Miejską Górę była godną mieszkańców miasta. Pragniemy zachować charakter górskiej drogi, gdyż sprzyja ona atmosferze modlitwy. Koszty przedsięwzięcia pokryją darczyńcy – każda stacja będzie miała swojego fundatora – osobę prywatną, rodzinę bądź firmę.*

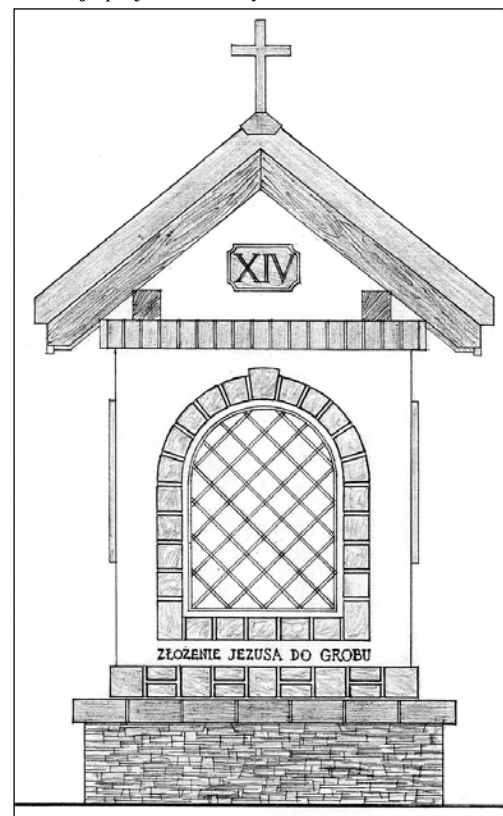
Niestety wówczas do realizacji bardzo oryginalnego projektu nie doszło. Okazało się, że kilkutonowych głazów piaskowca, które miały stanowić fantazyjną formę poszczególnych stacji, nie można przetransportować w tych trudnych warunkach terenowych metodą tradycyjną. Inne zaś metody okazały się zbyt kosztowne. Tak więc od projektu odstąpiono, nie rezygnując z pomysłu realizacji innych form stacji Drogi Krzyżowej.

We wrześniu br. inż. Leszek Pilawski powrócił do pierwszej koncepcji projektu z nieco zmienioną wersją. Poszczególne stacje będą tym razem stanowić takie same kapliczki. Projekt został już złożony do zatwierdzenia w wydziale budownictwa w starostwie. Zostały także wykonane mapy geodezyjne pod każdą z kapliczek (obowiązuje taki wymóg). Mapy zostały wykonane społecznie przez: Michała Czachurskiego, Zbigniewa Gałę, Antoniego Kmona, Andrzeja Limanówkę, Janusza Michnia-ka, Jana Widomskiego, Zbigniewa Wronę i Krzysztofa Zimirskiego.

Inwestorem kapliczek Drogi Krzyżowej będzie Parafia Rzymsko-Katolicka w Limanowej. Koordynatorem prac będzie Komitet Wspomagający w osobach: Michał Czachurski, Marek Cze- czółka, Władysław Garcarz, Grzegorz Janczy, Robert Jaworz-Dutka, Ryszard Kulma, Halina Matras, Andrzej Mamak, Stanisława Obrzut, Andrzej Pilawski, Leszek Pilawski, Józef Stach, Jan Stanisław, Stanisław Strug, Józef Sukiennik, Jolanta Szylar, Jakub Tokarz, Kazimierz Wojtas, Tadeusz Wojs, Jan Wrona, Józef Wróbel, Rudolf Zaczyński.



Projekty stacji Drogi Krzyżowej na Miejskiej Górze w Limanowej. **Powyżej:** projekt z 2006 r. **Poniżej:** projekt aktualny.



Każda kapliczka będzie miała swojego fundatora, tak jak było to w pierwotnym planie. Realizację planuje się rozpocząć wiosną 2010 roku.

**Materiały przygotował:
Stanisław Ociepa**

▶ O projekcie Drogi Krzyżowej na Miejską Górę pisała w „Echu” w numerze 145-146 w 2006 r. w artykule „Limanowska Kalwaria” Ilona Machowicz-Jurowicz. Wówczas ks. prałat Józef Poręba mówił: *Kamienista stroma prowadząca lasem droga na szczyt Miejskiej Góry – jej szlakiem wędrują pielgrzymi do Krzyża Jubileuszowego. Droga ta ma w sobie wiele z Kalwarii. Z tego względu już podczas budowy Krzyża – pomnika, zrodził się pomysł, aby stała się Droga Krzyżowa, miejscem, w którym pielgrzymi mogliby się modlić i rozważać Tajemnicę męki Pańskiej. Nie ma ona być ozdobą Miejskiej Góry, ale miejscem skupienia i przeżywania.* Architekt Leszek Pilawski dodał: *Pomysł budowy Drogi Krzyżowej zrodził się tuż po postawieniu Krzyża Jubileuszowego. Wtedy na życzenie ks. prałata Józefa Poręby przygotowałem pierwszy projekt Stacji w formie kapliczek, każda z nich miała być trochę inna. W tym roku (był to rok 2006 – przyp. red.) – mówił dalej Leszek Pilawski - ks. prałat wysunął nowy pomysł stacji Drogi Krzyżowej w formie kamiennych głazów na podmurówce. Ta forma fantazyjnych głazów pięknie wkomponuje się w górski krajobraz. Wypowiedzi uzupełnił przewodniczący Rady Miasta Ryszard*

„Trójka” wśród najlepszych!



Uczennice z ZSS nr 3 w Limanowej: (od lewej) Justyna Liszka, Monika Stach i Natalia Ślęzyk.

Jeszcze przed wakacjami rozstrzygnięto konkurs gazetek szkolnych zorganizowany przez sądecki oddział Dziennika Polskiego. W rywalizacji brało udział 19 pism ze szkół średnich, gimnazjalnych, podstawowych a nawet z oddziałów przedszkolnych. Jury, oceniając gazetki, brało pod uwagę różnorodność tematyki i form dziennikarskich, samodzielność myślenia, podejmowanie tematów istotnych dla szkoły oraz estetykę. Zwycięzcami, wśród szkół średnich i gimnazjalnych, byli redaktorzy pisma pt. „Gwoździem po ławce”, w kategorii szkół podstawowych wygrała „Anatomia Dwójki”, natomiast Grand Prix przypadło redaktorom gazetki „Skarga”. Wśród zwycięzców w kategorii zespołów znalazła się także Trójka, gazетка tworzona przez uczniów Zespołu Szkół Samorządowych nr 3 w Limanowej.


Nagroda została przyznana „za owocną reaktywację, dużą różnorodność tematyczną i gatunkową, stałe kolumny, regularność wydawania”. Wyróżnienie otrzymała także jedna z młodych dziennikarek gazetki Natalia Ślęzyk za oryginalny komiks, w którym w zabawny sposób komentowała wydarzenia z życia szkoły.

Obok nagród i prezentów, jakimi zostały obdarowane redakcje zwycięskich gazetek, w pamięci została szczególnie atmosfera spotkania. Dyrektor oddziału Wojciech Molendowicz i redaktorzy Dziennika Polskiego w rozmowie z młodymi dziennikarzami zachęcali ich do dalszej pracy i doskonalenia swojego warsztatu. Podkreślali, że wszystkie redakcje zasługują na uznanie za ogrom pracy, jaki wkładają w kreowanie swoich gazetek. Na koniec młodzi dziennikarze zobaczyli jak przygotowywany jest sądecki Dziennik Polski i stanęli do pamiątkowej fotografii.

T R Ó J K A

GAZETKA ZESPOŁU SZKÓŁ SAMORZĄDOWYCH NR 3 W LIMANOWEJ
NUMER 2/58 cena 50 gr LISTOPAD/GRUDZIEŃ 2008

W TYM NUMERZE:



Wesołych Świąt

CO SLYCHAĆ?

AKCJA „CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM” W TRÓJCE

„LUDZIE LUDZIOM ZGOTOWALI TEN LOS”

90. ROCZNICA ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI W NASZEJ SZKOLE

KONKURSY PRZEDMIOTOWE

STRONA Z PEGAZEM „Nasza biblioteka w wierszu i we fraszce”

CORAZ BLIŻEJ ŚWIĘTA

KLUB DETEKTYWA

ŚWIĄTECZNY KOMIKS

Tak narodziła się „Trójka”

Był ciepły czerwiec. Już inaczej szeleściły liście. Już czaiło się w nas tajemnicze i ekscytujące oczekiwanie. Już przenikała wszystko owa niezwykła atmosfera, będąca mieszaniną radości i nostalgii, ulgi i tęsknoty. Zbliżały się wakacje...

-Nie pozostanie tu po nas żaden ślad ...

-Jeszcze zdążycie stworzyć szkolną gazetę- zaproponowałem, wyciągając z lamusa pamięci zamiar, który dotąd nie mógł się jakoś spotkać z zapalem wykonawców

Na drugi dzień przyniosły zapisane kartki. Dla nich to była fraszka. Obydwie czuły radość pisania.

(J. Bogacz, nr 50 „Trójki”)

I tak się wszystko zaczęło... Oprócz Ani i Agnieszki do powstania pierwszego numeru przyczynili się Elżbieta Majerska, Jacek Koszyk i Piotr Król.

Po długich debatach zespół redakcyjny ustalił, że gazetka będzie nosić tytuł „Trójka”. Pierwszy numer wydano w nakładzie 240 egzemplarzy.

Czasopismo rozwijało się przez 8 lat pod czujnym okiem Jerzego Bogacza. W 2002 roku Trójka zniknęła aby w roku 2008 ponownie pojawić się w uczniowskich tornistrach. Szkoła związana z lokalną prasą, którą tworzyli i wspierali pracujący w niej nauczyciele uznała, że należy wspierać inicjatywy swoich uczniów.

Pod opieką Czesławy Michalik nowe pokolenie młodych dziennikarzy poznaje trud i radość tworzenia gazetki. Spotkania i konkursy pozwalają dostrzec swoje niedoskonałości i motywują do większego wysiłku.

Stanisław Król

Osoba i Czyn

Wanda Póltawska w Limanowej

Takich tłumów to w limanowskiej bibliotece chyba jeszcze nie było. 10 września, na zaproszenie MBP i Limanowskiego Klubu Literackiego zawitała tutaj dr Wanda Póltawska.

Frekwencja przebiła najśmielsze oczekiwania organizatorów. Chętnych na spotkanie z nią okazało się znacznie więcej, niż była w stanie zapewnić miejsc biblioteka. Sale wystawowe galerii, hol biblioteczny, schody, półpiętro, korytarze - wszystkie te pomieszczenia i miejsca zapelnily się ludźmi, chcącymi spotkać się z najbliższą przyjaciółką Jana Pawła II i posłuchać co ma do powiedzenia. Zjawilo się dużo młodzieży, co cieszy organizatorów i ucieszyło też samą zaproszoną. W ogóle audytorium, prócz tego że liczne, było bardzo zróżnicowane wiekowo. Z jednakową wszystkim uwagą i skupieniem wysłuchiwali tego, co pani Wanda miała do przekazania. A było to wiele naprawdę cennych i wartościowych uwag.



Dr Wanda Póltawska podpisuje swoje publikacje.

Gdzie był człowiek?

Tematów na które ja mogłabym do państwa mówić, wystarcza dla moich studentów na studia 5-letnie – zaznaczyła najpierw, bo i pierwsza część spotkania miała charakter i formę wykładu. Wanda Póltawska streściła ważne fragmenty ze swojego życiorysu. Dużo miejsca poświęciła najbardziej traumatycznemu i rzutującemu na całe jej życie doświadczeniu – pobycie w obozie pracy dla kobiet w Ravensbrück. *Celem było fizyczne zniszczenie przebywających tam kobiet.* Na postawione - sobie i zebrany - pytanie czy i gdzie był Bóg, gdy działy się wszystkie straszne rzeczy Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, Sachsenhausen, Majdanka, Dachau, Mauthausen i ogólnie okropieństw wojny – Póltawska odpowiada też pytaniem: A gdzie był człowiek? Nie można zrzucać odpowiedzialności za wolne, ludzkie czyny na Boga. Trzeba pamiętać to czym była i co zostawiła II wojna, dlatego, że jej skutki tkwią nadal w ludziach. *Czyn może być odpuszczony, człowiek rozgrzeszony, ale rozgrzeszenie nie obejmuje skutków czynu - skutki nie znikają, trwają.* Opowiedziała też o literackim pokłosiu pobytu w obozie – książce pt. „I boję się snów”, która jest pamiętnikarskim zapisem wszystkiego tego, czego tam doświadczyła.

Nie ma niewinnych

Dużo miejsca dr Póltawska poświęciła sprawom aborcji, zabijania dzieci nienarodzonych oraz nauczaniu jej duchowego kierownika Jana Pawła II. Bo, co zrozumiałe, wszystko co mówiła było generalnie oparte o teologię, naukę i światopogląd polskiego Papieża. O zabijaniu dzieci nienarodzonych: *Wszyscy jesteśmy winni, nie ma niewinnych. Bo jedni to czynią, a drudzy patrzą i nie reagują. Największą troską Jana Pawła II było to, iż chciał uchronić świat od tej zbrodni. By cywilizację śmierci, zamienić w cywilizację życia i miłości.* O Ojcu

Świętym i jego nauczaniu: *Cała jego działalność od księdza do Papieża służyła temu, by uratować świętość miłości mężczyzny i kobiety. Bo nie chodzi o to, żeby ratować dziecko przed aborcją – chodzi o to, żeby nikomu do głowy nie przyszło, że można zabijać dziecko, które ma być owocem miłości. Mówił bez końca: „uczcie się kochać”. O miłości: Trzeba uczestniczyć w Bożej miłości. Miłość tak naprawdę rozgrywa się w duszy, nie w cielesności.*

Są ważniejsze rzeczy niż zjedzenie chleba

Ważnym fragmentem wykładu Wandy Póltawskiej były także zagadnienia związane z doczesnością i ludzką egzystencją tu, podczas ziemskiego bytowania. *W doczesnym ludzkim życiu jest tylko jeden pewny punkt: śmierć – podkreślała autorka „Beskidzkich rekolekcji”. Wszystko inne jest niepewne – może być, a nie musi. I tego jednego pewnego punktu ludzie nie biorą pod uwagę, wcale. Wieczność jest zadana – życie na ziemi jest dane. To zadanie niestety znika z horyzontu świadomości ludzi.* Mówiła o darach bożych danych człowiekowi (Człowiek przez Boga obdarowany jest 5 darami: egzystencją, życiem, ciałem, płcią i płodnością), atrybutach duszy ludzkiej (sumienie, rozum, wola), sensie życia ziemskiego (Bez Boga nie ma prawdziwego sensu życia. Karol Wojtyła chciał właśnie pokazać ten sens – świat zamurzony w Bogu, a człowiek zjednoczony z nim i szczęśliwy. To nie chodzi o to życie tu – chodzi o wieczność. Są ważniejsze rzeczy niż zjedzenie chleba), teologii ciała. Gorąco zachęcała zebranych do tego, aby zapoznać się z dokumentami Jana Pawła II (...tam jest napisane, jak żyć, by stać się świętym, bo każdy człowiek jest powołany do świętości. Może nim być – musi tylko chcieć).



Szukaj dobra w sobie, a ogół stanie się lepszy

Druga część spotkania miała już charakter bardziej dyskusyjny. Pojawiały się pytania, a zaproszona bardzo szeroko i wyczerpująco na nie odpowiadała. Pytano ją o Ravensbrück – jak to możliwe, że po okropnościach obozowych nie straciła wiary w Boga? *Owszem, zaczęłam tracić wiarę, ale w człowieka - w Boga nigdy - odpowiadała. Zznałam tam nie tylko okrucieństwa i podłości, ale też i heroizmu ludzi, wspinałej przyjaźni. Zawarłam tam przyjaźnie na całe życie. W człowieku są możliwości i ku dobru, i ku złu - od ciebie zależy kim jesteś. Walka dobra ze złem odbywa się w człowieku. Pan Bóg kocha ludzi więcej niż ludzie siebie potrafią kochać.* Padło pytanie o obozowych oprawców i stosunek do nich. *W ekonomii bożej to pokrzywdzony jest wygranym* – odpowiedziała Wanda Półtawska. *Szukaj dobra w sobie, a ogół stanie się lepszy; Pamiętając o drodze krzyżowej, nie można zapomnieć o zmartwychwstaniu.*

Pojawiały się pytania o dzisiejszą młodzież, grupę szczególnie bliską zaproszonej. Co może wydać się ciekawe – nie pojawiło się ani jedno pytanie o *Beskidzkie rekolekcje*, czyli książkę, po której o doktor Półtawskiej zaczęto mówić częściej i więcej. Roztoczyła się natomiast partnerska dyskusja, wymiana spostrzeżeń, poglądów, doświadczeń życiowych, podziękowań. Nie sposób tutaj wszystkiego przytaczać, jak i w ogóle punktowo streszczać całe spotkanie. Odnosiło się wrażenie, że Wanda Półtawska podczas jego trwania szybko nawiązała porozumienie z publiką, przed którą występowała, a ta z dużą dozą szacunku, zrozumienia, przekonania i chyba też utożsamiania się przyjmowała jej ważne słowa. Niech za przykład powyższego i ogromne zainteresowanie posłuży to, że gdy na koniec autorka podpisywała swoje książki, to trwało to grubo ponad dwie godziny.

Wanda Półtawska to niesamowity człowiek. Osoba doświadczana nieludzko przez człowieka, ale i po ludzku przez Boga, będącego sensem jej życia. Postać posiadająca zdecydowane poglądy i prezentująca taką też postawę. Można się z nią zgadzać, bądź nie. Nie można jej odmówić jednak dużego charyzmatu.

Karol Wojtyła jest już w *domu Ojca*. Mimo to ma tu - na Ziemi - wraz z nim, znakomitego rzecznika swych idei.

WANDA PÓLTAWSKA - dla znajomych Dusia. Urodzona w 1921 r. w Lublinie. Doktor medycyny, specjalistka w dziedzinie psychiatrii, przyjaciółka Jana Pawła II. Przyczyniła się do powstania Instytutu Teologii Rodziny przy krakowskiej PAT. Wraz z mężem należy do Papieskiej Rady ds. Rodziny i Papieskiej Akademii „Pro vita”.

W czasie wojny była harcerką Szarych Szeregów, za co w 1941 roku aresztowano ją, skazano na śmierć i wysłano do obozu dla kobiet w Ravensbrück. Wraz z grupą więźniarek poddawana okrutnym eksperymentom medycznym. Przeżyła. Po raz drugi otarła się o śmierć w 1961 roku. Lekarze wykryli u niej guz, który został zdiagnozowany jako nowotwór złośliwy. Ówczesny biskup Karol Wojtyła napisał list do Ojca Pio z prośbą o modlitwę i wstawiennictwo w jej intencji. Przeżyła. Bezpośrednio przed operacją stał się cud: guz samoistnie zniknął.

Mimo swego wieku wciąż ma czas i siły, aby poprzez spotkania i wykłady realizować wezwanie Jana Pawła II: „*Wszyscy jesteśmy wezwani, aby na miarę swoich możliwości chronić społeczeństwo nie tylko przed tragedią wojny, ale także przed wszelką formą naruszania praw człowieka, zwłaszcza niepodważalnego prawa do życia, które przysługuje osobie od chwili poczęcia.*” Mieszka w Krakowie. Ma cztery córki. Mąż - Andrzej Półtawski - jest profesorem filozofii. Jest autorką kilkunastu książek tłumaczonych na języki obce. Najbardziej znane to m.in. *Samo życie, I boję się snów, Z prądem i pod prąd*. O jej przyjaźni z Janem Pawłem II opowiadają *Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich*. Jest to publikacja wyjątkowych dokumentów – wieloletniej osobistej korespondencji autorki z jej kierownikiem duchowym Karolem Wojtyłą.

O tym średniowiecznym zabytku tak napisałem przed laty w monografii bazyliki limanowskiej: „Stara drewniana chrzcielnica w formie kielichowej z architektoniczną dekoracją maswerkową i licznymi tarczami herbowymi (aktualnie nieczytelnymi), pierwotnie była bogato polichromowana. Dzisiaj, stojąc w nowo wzniesionym kościele, ma szczególną wymowę; jest bowiem wraz z Pietą limanowską łącznikiem między starymi a nowymi laty i świadczy nieprzerwanie o gotyckich początkach parafii limanowskiej i chrześcijańskich korzeniach tej ziemi - chrześcijańskim rodowodzie jej mieszkańców.” U dołu strony w tzw. przypisie można przeczytać, że chrzcielnica pochodzi z pierwszego kościoła limanowskiego i wykonana została w 1527 roku. Jej pokrywa jest późniejsza. (J. Sz. W. *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej*, s. 149).

Limanowska późnogotycka chrzcielnica oddana do konserwacji

Józef Szymon Wroński

Ta krótka charakterystyka, która dla potrzeb monografii kościoła była wówczas wystarczająca, tutaj zostanie rozszerzona i uzupełniona. Wiemy nie od dziś, że chrzcielnica należy do dzieł wyjątkowych tak ze względu na czas powstania, jak również ze względu na materiał, z jakiego została wykonana. Jest jedną z najstarszych tego rodzaju chrzcielnic na terenie Małopolski i jedną, jeśli nie jedyną późnogotycką chrzcielnicą drewnianą, monolityczną, wykonaną w całości (czasza - podstawa) z drewna. Czasza (a wewnątrz niej zbiornik na wodę święconą) ma kształt kolisty, natomiast maswerkowy, dekoracyjny koszyczek w górnej jej partii przybrał kształt ośmioboku, podobnie podstawa-trzon ma kształt ośmioboku, zwężającego się ku górze i zwieńczonego bogato zdobionym nodusem. Składa się on ze skręconego sznura z tarczami herbowymi na nim. Jeden ze znaków na tarczy herbowej układa się jak gdyby w monogram czy znak (czyżby był to herb fundatora albo odwrócona litera **A**, tzw. **lambda**?). Signum temporis, czyli znak czasu wyraża najdobitniej maswerkowa dekoracja koszyczka w górnej partii czaszy układająca się w formę ostrołukowych dwunałęcz, wspartych na dekoracyjnych wspornikach. Cały ten splot maswerkowy przypomina także popularny w późnym gotyku motyw suchej gałęzi, który dla mało wtajemniczonych w arkaana sztuki jest najlepszym motywem umożliwiającym datowanie obiektu. W przypadku chrzcielnicy limanowskiej jest to zbyt cenne, gdyż - jak wiemy - na tarczach herbowych występuje data: rok 1527, a więc data wykonania tego niezwyklego naczynia liturgicznego.

Stopa-baza i pokrywa ze zwieńczeniem są późniejsze i pochodzą prawdopodobnie z końca XVIII lub początku XIX wieku. Zwieńczenie, złożone z ulatujących ku górze przełamanych wolut, podtrzymujących wieńczącą szyszkę, zostało ukształtowane na podstawie zwieńczenia późnobarokowej ambony, znajdującej się w tzw. II limanowskim kościele, która później posłużyła do wykonania ambony, znajdującej się w nowym kościele - dziś bazylice limanowskiej. Chrzcielnicę pokryto wówczas nową polichromią i złoceniami, by związać ją z amboną i ołtarzami (z wyposażeniem kościoła).

Zarówno chrzcielnica jak i ambona przypominają monumentalną puszkę czy raczej kielich liturgiczny. Oznacza to, iż kapłan z ambony, występując in Persona Christi, głosi Słowo Boże, prowadzące do Eucharystii Ciała i Krwi Pańskiej. Natomiast kształt chrzcielnicy w formie kielicha przypomina o sakramencie chrztu. Ośmioboczny kształt koszyczka (nałożony na czarę), trzonu i podstawy nawiązuje do symboliki liczb. Baptysteria średniowieczne miały wzorem tradycji kształt oktagonu, bowiem Chrystus (według starego prawa) został ochrzczony w ósmym dniu.

Ten pomnik chwały ciągłości dziejów Limanowej przetrwał do naszych czasów prawie nietknięty, ale czas zrobił swoje. Toteż dzięki zabiegom ks. Prałata Józefa Poręby -proboszcza limanowskiego chrzcielnica oddana została do konserwacji. Prace prowadzone są w Pracowni Konserwacji Dzieł Sztuki Janusza Czopa w Krakowie i Konserwacji Dzieł Sztuki Rafała Bukowskiego w Zabierzowie. W pracach przygotowawczych podjęto ba-



Późnogotycka chrzcielnica - bezcenna pamiątka z pierwszego kościoła limanowskiego.

dania stratygraficzne, które określiły rodzaj i charakter nawarstwień (w ciągu wieków) i zakres ich występowania. Odslonięto warstwę pierwotną, pobierając próbkę do badań chemicznych w celu określenia ich składu. Po decyzji Komisji Konserwatorskiej usunięto wtórne nawarstwienia i odsłonięto pierwotną warstwę malarską w kolorze ciemnej czerwieni żelazowej i minii. W podobnym kolorze, jednak nieco jaśniejszym, utrzymany jest koszyczek (motyw dekoracyjny). Ta war-

stwa (pierwotna) będzie eksponowana w trakcie konserwacji. Równocześnie wykonana zostanie impregnacja zniszczonej struktury drewna. W ten sposób chrzcielnicę przywrócona zostanie jej pierwotna, średniowieczna szata. Na koniec listopada przewidziano zakończenie prac technicznych, natomiast zakończenie wszystkich prac konserwatorskich przewidziano na początek roku 2010.

Ileż to różnych skojarzeń przywodzi na myśl limanowska chrzcielnica. Jej data powstania 1527 r. może świadczyć o tym, że została wykonana, gdy stał już tzw. pierwszy limanowski kościół drewniany. Jej materiał - drewno było tożsamy z materiałem, z którego powstał kościół, a także z jakiego później zbudowane zostało miasteczko. Chrzcielnica była więc integralną częścią architektury. Stanowiła wyraz tzw. Gesamtkunstwerku, jakbyśmy to fachowo nazwali, albo używając jeszcze nowszego określenia sztuki holistycznej, będącej wyrazem idei całości i jedności. Drewno było aż do XIX w. podstawowym materiałem, z jakiego wykonywano nie tylko domostwa w Limanowej. Do tego dochodzi jeszcze jeden bardzo ważny wzgląd, którego nie można tutaj w żaden sposób pominąć - wzgląd ekonomiczny. Wykonanie chrzcielnicy w drewnie kosztowało co najmniej 10 razy mniej niż np. w marmurze. Świadczyć to może zatem także o niezbyt zasobnym budżecie ówczesnej parafii. Mówi się, że chrzcielnica limanowska powstała pod wpływem bogatej chrzcielnicy z pobliskiej Trzciany koło Bochni, ale - jeśli to się potwierdzi - na co trzeba dokładnych badań stylistycznych, jest o 30 lat młodsza od pierwowzoru. Trzciańska chrzcielnica jest wykonana z kamienia i posiada na tarczach herbowych znaki: Starykoń, Orzeł Polski i Prus. W tym momencie przypomina się wiersz C. K. Norwida (1821-1883): *Rzecz o wolności słowa*, gdzie występuje słowo **Prusy**:

*Trzeba było być duchem, pokorą i pracą,
I siłą, i nicością - trudem nie lada co -
Żeby ów polski Język nie opłonał naraz,
Lecz jak twierdza zupełnie, jak obronny taras,
Ruś - Litwę - Prusy objął. Zarówno w Siewierzu,
Jak w Królewcu wybrzmiewał albo w Sandomierzu,
Gminny, sielski, uczony - kmiecy i królewski,
Ten kasztelański Jana język Czarnoleski.
Język, który na Sądzie popiołów zawoła:
„Uwity jestem z nerwów skrwawionych Anioła
I sądzę was - razem dechem i moralnym chrzestem!”*

Ten „moralny chrzest” chrzcielnicy limanowskiej wyraża się więc zarówno w sielskim i uczonym, jak i kmiecym i królewskim języku jej formy. Co mówi nam późnogotycka forma limanowskiej chrzcielnicy? Jest ona świadectwem, że formy „uwite z nerwów” gotyckich splotów na prowincji jeszcze długo miały swą wartość pierwszorzędą: były obowiązujące dla architektury sakralnej (przypomnijmy, że w tym czasie w Krakowie rozwijał się już renesans. W toku była przebudowa Wawelu, istniał już projekt kaplicy Zygmuntońskiej). Czas tzw. *przedłużonego trwania* form gotyckich wówczas w Polsce może świadczyć również o istnieniu warsztatu, które tego rodzaju naczynia liturgiczne w formach utrwalo-nych i uznanych w dalszym ciągu wykonywał. Jak z powyższego wynika, na usta ciśnie się szereg pytań, którymi winni się zająć znawcy przedmiotu, a więc mediewiści, badający i poszukujący związków formalnych sztuki z ówczesnym życiem i tłumaczący



Chrzcielnica w trakcie renowacji w pracowni Konserwacji Dział Sztuki Janusza Czopa w Krakowie.

je na zrozumiały język współczesny. Owa eksploracja może przynieść wcale ciekawe wyniki, odnoszące się tak co do życia codziennego ówczesnego społeczeństwa, a przede wszystkim liturgii i życia duchowego mieszkańców Limanowej.

Czekając więc na znawców i badaczy średniowiecza, nie sposób obronić się od zwykłych refleksji, jakie łączą się z tym średniowiecznym zabytkiem. Ileż to pokoleń naszych rodaków obejmuje ona w jedno wspólne kolisko, czyli ile pokoleń naszych ojców i matek otrzymało chrzest przy tej średniowiecznej chrzcielnicy, słysząc sakramentalne słowa: *Ja Cię chrzczę w imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego*. Czy te słowa nie przypominają się nam, gdy robimy znak krzyża świętego? Patrząc na tę „starożytną”, limanowską chrzcielnicę mimochodem ciśnie się na usta sakramentalne słowo wieszczą: **CHRZCIJMY!**

*My więc, dla których pióro, jak proporzyczek biały,
Powolnym wiatrem wzdęty, nie skalany jeszcze,
Tak drżąc się rozwija..., my bez blasku chwały
I bez niecnoty blasku - nasze czucia wieszczą
Pieśnią Bogarodzicy **chrzczijmy** - a bez końca
Walczmy, od wschodu do zachodu słońca!*

Chrzczijmy więc i my limanowianie, uczcijmy zatem należycie tę naszą średniowieczną „relikwię” życia parafialnego pieśnią Bogarodzicy, gdy w nowym blasku starej szaty pojawi się znów w limanowskim kościele, by trwać i dbać o wiarę tych, którzy przyjdą po nas.

Postscriptum

Stanisław Ociepka

„Okruchów pamięci” - cz. 4

To już ostatnia część Postscriptum „Okruchów pamięci” cyklu artykułów, w których zostały opisane: wschodnia, południowa i zachodnia część rynku jako wzbogacenie wydanego ostatnio albumu „Limanowa na starej fotografii”.

Pozostała do opisu najbardziej charakterystyczna dla obrazu Limanowej pierzeja północna. Tak więc wędrówka jaką „przebyliśmy wspólnie” wokół tego centralnego placu miasteczka, którego zabudowa zmieniała się na przestrzeni lat, pozwoliła nam uświadomić, że to miejsce szczególne. Bowiem oprócz barwnych targów i jarmarków, które odbywały się w przeszłości, plac ten był i jest ważnym miejscem spotkań, wizyt, powitań i pożegnań oraz uroczystości tak świeckich jak i religijnych. Przekonać można było się o tym oglądając stare fotografie, które zaprezentowane zostały w tych artykułach.

Szczególna atmosfera panująca w tym miejscu pozwalała traktować ten centralny plac Limanowej jako swego rodzaju salon miasteczka. Uwidoczniony na wielu fotografiach jak w lustrze odbijał historię zdarzeń, które miały tu miejsce. To wszystko minęło bezpowrotnie. Tylko część wspomnień pozostała w pamięci oraz obrazy zapisane światłem na starej fotografii jako dowody przeszłości.

Pierzeję północną limanowskiego Rynku tworzyły podcienia, które powstawały stopniowo od drugiej połowy XVIII wieku, a swój ostateczny wygląd zawdzięczały przebudowom i remontom w wieku XIX i początkach XX wieku. W nocy z 19 na 20 stycznia 1945 roku spłonęły w wyniku podpalenia przez żołnierzy radzieckich.

W różnych publikacjach opisywana była ta część rynku. Ostatnio w „Alma-

nachu Ziemi Limanowskiej” (wiosna 2008 nr 32) w artykułach: „Limanowskie podcienia” Józefa Szymona Wrońskiego i „W podcieniach” Jerzego Bogacza oraz w „Echu Limanowskim” (lipiec-sierpień, nr 166-167) w artykule „Miasto w dwudziestolecie międzywojennym-limanowskie podcienia” Stanisława Króla.

Dla przypomnienia podaję, że właśnie w tej części rynku znajdowały się sklepy, restauracje i zakłady usługowe.

Zaplecza ich były często prywatnymi mieszkaniami. Podcienia spełniały ważną rolę dekoracyjną, użyteczną, i społeczną. To tu kupcy limanowscy, najczęściej Żydzi, wystawiali swoje towary, rękodzielniczy wyroby. Był to limanowski ruchliwy deptak, miejsce handlu i spacerów mieszkańców.

Na wielu fotografiach z okresu międzywojennego możemy zobaczyć – odczytać charakterystyczne napisy na okiennicach sklepów, były to reklamy firm działających w tych latach. Możemy także ustalić rodzaj branż sklepów tu działających oraz nazwiska ich właścicieli. Uzupełnione przez opisy osób pamiętających lata trzydzieste XX wieku z pewnym przybliżeniem oka pozwalają ustalić, jakie mieściły się w podcieniach sklepy i zakłady. Idąc od strony kościoła pierwsza była drukarnia Hirsch Schaja, obok cukiernia Lewiego oraz sklep ze skórami S. Drengera. Obok piekarnię prowadził Szymonek, który handlował również mąką. Następny był sklep z towarami żelaznymi Mozesza Blecha. Ważnym miejscem w podcieniach był sklep kolonialny oraz restauracja „Ziemiańska” Marcelego Bursztyna, znanego kupca i wieloletniego burmistrza Limanowej. Za restauracją „Ziemiańska” znajdował się sklep tekstylny Weinfeldta, a dalej sklep z towarami bławatnymi Dawida Sussweina. Miejscem ulubionych towarzyskich spotkań limanowian była cukiernia Jana Kielskiego, którą później wydzierżawił Kazimierz Sierosławski, kiedy w 1937 roku Kielski wyjechał z Limanowej. W ostatnim lokalu podcieni był sklep z przyborami szewskimi Bruga.



Południowa strona rynku - lata międzywojenne.



Wschodnia strona rynku - lata pięćdziesiąte XX wieku.

Dachy tych limanowskich drewnianych podcieni najczęściej pokryte były papą, niekiedy dachówką, wspierały się jakby o ścianę zachodnią murowanej kamienicy Tomasza Biela – kupca współzałożyciela w 1938 roku „Hurtowni Kupców Polskich”. Była to kamienica, w której znajdowała się hurtownia tytoniowa,

my odpowiedź, czytając dalej tekst: *Spoglądamy na stare fotografie, dostrzegamy znajome obiekty i układ przestrzenny miasta, zauważamy różnice, które stopniowo odkrywamy kreślą obraz starej Limanowej. Przy odrobinię wyobraźni sceny ożywają, a my stajemy się wówczas bogatsi w wiedzę*

o naszych ojcach, dziadach i pradziadach. W ten sposób odnajdujemy źródła własnych korzeni, których odkrycie wewnętrznie wzmacnia nas i naszą świadomość.

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci. Limanowa na starej fotografii”



Zachodnia strona rynku z widocznymi pierzejami: południową (po lewej stronie) i północną (po prawej stronie) - okres okupacji.

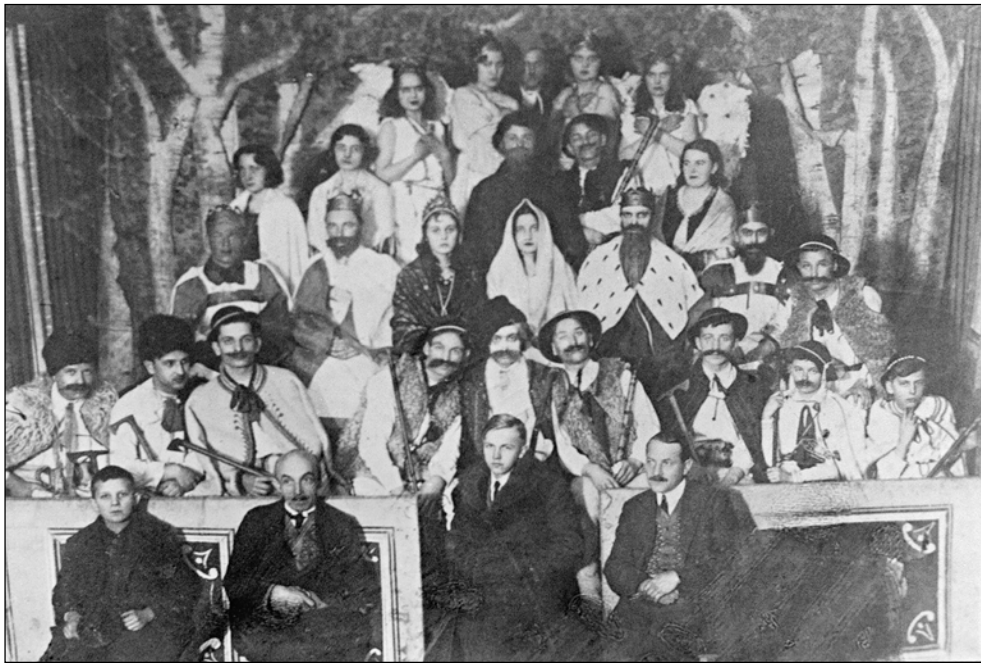
skład materiałów budowlanych oraz sklep z towarami bławatnymi H. Ebarta. Ta właśnie kamienica zamyka stronę północną limanowskiego rynku.

Kończąc wędrówkę wokół centralnego placu w Limanowej można zapewne powiedzieć, że w opisanych budynkach zawarta jest historia ich mieszkańców – właścicieli, dla których były one miejscem pracy i wielu osobistych przeżyć.

Idąc śladem sugestywnie postawionego pytania we wstępie wspomnianego artykułu o podcieniach Stanisława Króla: *Czy współczesny wygląd i atmosfera limanowskiego rynku ma coś wspólnego z przeszłością?* otrzymuje-



Północna strona rynku. Podcienia po przeprowadzonym remoncie przez burmistrza Tomasza Biedę. Fotografia wykonana w latach czterdziestych XX wieku.



Jasła limanowskie - wystawione w latach trzydziestych w sali „Przyjaźń”.



Pod koniec lat pięćdziesiątych jasła wystawiano w sali „Sokoła”.

Jasła, czyli misterium o narodzeniu Jezusa, jako pierwszy wystawił św. Franciszek z Asyżu w XIV wieku. Ich treścią jest historia narodzenia Jezusa w Betlejem, wędrówka trzech króli, aby oddać mu pokłon, rzeź niewinnych dzieci dokonana przez Heroda, a przede wszystkim przesłanie, że dobro zawsze zwycięża i za złe czyny trzeba ponieść zasłużoną karę. Treść znana wszystkim, ale magia tego tematu jest tak wielka, że już siedemset lat to przesłanie jest aktualne. Początkowo jasła wystawiane były tylko w kościołach, duże zasługi miały w tym zakony franciszkańskie i bernardyńskie, ale w związku z przenikaniem do przedstawień wielu świeckich treści, w XVIII wieku biskupi polscy zabronili wystawiania jasełek w kościołach. Z szopkami zaczęły wtedy krążyć grupy kolędnicze i jasełkowe.

Limanowskie jasełka

Historia wystawiania jasełek w naszym mieście jest nie tylko długa, ale i bardzo ciekawa. Świadczy o bogatym życiu kulturalnym i zaangażowaniu wielu osób.

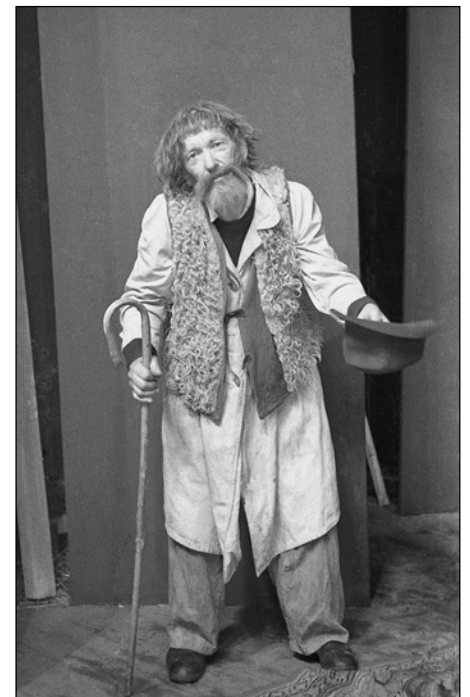
Już przed wojną w okresie Bożego Narodzenia wystawiane były przez limanowską grupę teatralną przedstawienia jasełkowe, które z wielkim zaangażowaniem reżyserował limanowski nauczyciel Józef Kurtycz. Oprawę muzyczną tych przedstawień tworzył pan Mieczysław Mordarski senior, a aktorami byli mieszkańcy miasta skupieni przy „Sokole”. Na zachowanych zdjęciach z tego okresu widać, że przedstawienia były tworzone z wielkim rozmachem i przy udziale bardzo wielu mocno zaangażowanych osób. Widowisko to cieszyło się dużym zainteresowaniem całej limanowskiej społeczności, bo stanowiło wydarzenie nie tylko kulturalne, ale i religijne.

Po II wojnie światowej powrócono do tradycji organizowania przedstawień jasełkowych. Był to czas, można określić głodu kulturalnego, więc chętnych i aktywnych aktorów nie brakowało. Reżyserią zajmował się Stefan Ociepka, a potem Tomasz Pękała. Działalność kulturalną związaną z limanowskim teatrem, a z jasełkami w szczególności, ogromnie wspierał niezapomniany ks. Jan Rachwał. Przedstawienia były tworzone w „Sokole” do końca lat pięćdziesiątych. Narastająca wówczas cenzura, uniemożliwiała publiczne wystawianie przedstawień o charakterze religijnym. Jednak mieszkańcy Limanowej i okolic znani z przywiązania do wiary przodków i na te niemałe utrudnienia znaleźli sposób.

Jasła były przygotowywane i wystawiane w okolicznych wsiach, między innymi na Starej Wsi w prywatnych domach. Na Golcowie u państwa Florków

Bożena Zoń

i Marciszów rokrocznie wystawiano misterium jasełkowe. Teksty, najczęściej wierszowane, pisała p. Marciszowa i rozdawała je młodzieży i dzieciom. W okresie adwentu, wieczorami odbywały się próby, które integrowały społeczność wsi. Wystawienie jasełek było ogromnym przeżyciem dla aktorów i widzów, tym bardziej, że wśród zaproszonych gości bywali księża z Limanowej, na czele z proboszczem Ludwikiem Kowalskim. Gospodarze przywozili ich saniami.





Współczesne jasełka w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół Samorządowych nr 3 w Limanowej.

Wraz z odwilżą polityczną i poprawą stosunków państwa z kościołem w latach siedemdziesiątych poprzedniego wieku, zespół regionalny „Limanowianie” podjął się realizacji przedstawień jasełkowych. Były to jasełka oparte na tradycjach regionalnych Lachów Limanowskich i opracowane pod względem muzycznym, artystycznym i dramatycznym przez Ludwika Mordarskiego. Oparte są o stare teksty i tradycyjny scenariusz jasełkowy. Zespół „Limanowianie” wystawiał je początkowo w świetlicy CPN w Sowlinach i Łososinie Górnej, a po wybudowaniu Domu Kultury w Limanowej na jego scenie. Z przedstawieniem

zespół „Limanowianie” występował poza Limanową, między innymi na IV Małopolskich Spotkaniach Zespołów Jasełkowych w Żegocinie w 2002 roku, gdzie otrzymał wspaniałą recenzję, wychwalającą nie tylko grę aktorską, związki z regionem (gwarę, rekwizyty, scenografię), ale również maksymalne wykorzystanie języka muzyki w przedstawieniu. Spektakl został oceniony jako perfekcyjny. I taki jest do tej pory, bo wystawianie jasełek na deskach Domu Kultury stało się niepisaną tradycją każdego roku.

Czasy się zmieniły i dzisiaj nikt nie zabrania wystawiania jasełek. Robią to w szkołach nauczyciele i katecheci, bo

warto. Wystawianie inscenizacji o charakterze religijnym, które w swoim przesłaniu wyraźnie oddzielają dobro od zła i niosą jednoznaczne przesłanie, ma walory nie tylko artystyczne, ale, a może przede wszystkim wychowawcze i integrujące zespół klasowy. Pozwala na spędzanie przez dzieci i młodzież czasu w sposób twórczy artystycznie. Przedstawienie daje każdemu uczniowi możliwość wykazania się w różnorodnej, nie tylko aktorskiej działalności. Mamy bardzo bogate tradycje regionalne, które za wszelką cenę należy kultywować, aby te małe dzieci, gdy dorosną miały pełną świadomość własnych korzeni.



Tekst: Bożena Zoń
Fotografie: archiwum albumu
„Okruchy pamięci.
Limanowa na starej fotografii”

Reportaż fotograficzny z Jasełek wystawianych na scenie limanowskiego „Sokoła” w latach pięćdziesiątych XX wieku prezentujemy na stronach 32-33.

Autorka oraz redakcja dziękują za konsultacje panu Ludwikowi Mordarskiemu.

Wybrane epizody z Jasełek wystawianych na scenie „Sokoła”.

Limanowscy poeci trafili na Słowację

I trafili tam nie za karę czy na zesłanie za niepoprawną tak albo inaczej twórczość. Bynajmniej, nic z tych rzeczy. Wręcz, że przeciwnie – bo zdolni są. Trafili tam, bo... zostali zaproszeni. Przez kogo? Przez sobie podobnych osobników ze Słowacji. Po co? By w ich towarzystwie, Czechów i Węgrów w dodatku, rozbuchać internarodowy poetycki tygiel, powrzucać weń swoje receptury, zamasyżić zamieszać i obaczyć co wyszło. A wyszło. Oj, wyszło.



18 września na zaproszenie Biblioteki Turciańskiej ze słowackiego Martina i Klubu Literackiego Duria do naszych południowych sąsiadów udała się reprezentacja Limanowskiego Klubu Literackiego, działającego przy limanowskiej MBP. Wybrali się tam w sile osób pięciu: trójka literatów z kategorii *młodzi zdolni*, ich kierowca i ich opiekun (mający cichą nadzieję, że gdy już sława, popularność i frukta z tym związane mocnym uściskiem ich obejmą - a stać się tak musi - pozwolą mu zostać swym menedżerem). Powód tej literackiej ekskursji? Udział w organizowanej przez KL Duria trzydniowej imprezie literackiej pn. MARTIŃSKA POETYCKA JESIEŃ. Jest to coroczne (w tym roku odbyła się już 6. edycja), międzynarodowe spotkanie twórców działających w klubach literackich ze Słowacji, Czech, Węgier i Polski. W tym roku zaprosili poetów z LKL-u i - mamy graniczące z pewnością przekonanie - że nie żalowali. My tym bardziej, bo poznaliśmy kapitalnych ludzi o różnym przekroju wiekowym, arcszybko nawiązaliśmy z nimi koleżeńskie relacje, które winny promieniować w przyszłości, po-

wymienialiśmy poglądy na sprawy ważne i ważniejsze, no i zwiedziliśmy kilka naprawdę ciekawych miejsc. Ale po kolei.

Po przyjeździe na miejsce – mały rekonesans po centrum miasta, wizyta w Bibliotece Turciańskiej, powitanie z organizatorami i słowackimi znajomymi, wizyta w Maticy Słowackiej (robi wrażenie) i przemarsz do Biblickiej Szkoły. Tam, w imponującej sali, oficjalne otwarcie MPJ i rozpoczyna się literackie popołudnie.

Na pierwszy ogień idzie, a jakże, ekipa limanowska. I tu należy wyrazić podziękowania dr. Milanowi Gondzie. Ten Pan, zaprzyjaźniony z nami mocno, świetnie wprowadził zebranych w prezentacje limanowskich poetów. W języku słowackim opowiedział o najważniejszych faktach dotyczących LKL-u, przedstawił biografie naszej trójki i scharakteryzował ich twórczość, w tym nawet przetłumaczył na ichni język po jednym z prezentowanych przez nich tekstów. Za to podziękuj. Następnie swoje teksty przedstawili limanowscy literaci, czyli: Anna Przybylska, Ola Wielek i Jacek Sejmej. I zaprezentowali się naprawdę fajnie. Wzbudzili poruszenie na sali, to pewne. Po nich prezentowali się kolejni – ogółem 11 klubów literackich i inni, niezrzeszeni literaci. Za przerwami służyła nastrojowa, „żywa” muzyka. Po prezentacjach – jeszcze krótki spacer po centrum miasta, wzajemne doznajmianie się i transport do fajnie ulokowanego pensjonatu na obrzeżach Martina na nocleg. Tam szybki kwaterunek, kolacja w nieodległym wyszynku, powrót do pensjonatu i ...

(ciąg dalszy na stronie 42)



Magia galerii

Pierwsze piętro. Z pozoru tylko kilka ścian. Ale jest tu „coś”. „Coś” co bezwzględnie magnetyzuje i uwodzi. Nie można się oprzeć. Czas zdaje się płynąć wolniej. Człowieka ogarnia stan błogiej bez troski, uniesienia, euforii. Co miesiąc inne kolory, formy, kształty. „Magiczne miejsce z artystycznym klimatem” – twierdzą ci, którzy tu byli.

Sala pierwsza

Wszystko zaczęło się przed 25 laty. Najpierw były okolicznościowe wystawy, na których prezentowano starodruki, ale też prace malarskie uzupełniające temat. Oprócz tego organizowano ekspozycje najlepszych prac uczniowskich, jakie w setkach napływały na konkursy plastyczne. Aż wreszcie doszło do pierwszej prawdziwej wystawy miejscowych artystów pod hasłem: „Ziemia piękna w talenty bogata”. To było to! Ale po pierwszym entuzjazmie okazało się, że wcale nie jest tak prosto. Nie było łatwo znaleźć osoby, które chciałyby wystawić swoje prace. Artyści-samoucy do propozycji podchodzili nieufnie. Tworzyli raczej w ukryciu, nie bardzo wierzyli w swój talent, więc czemu mieliby to pokazywać innym? Jednym z pierwszych, który zdecydował się zaprezentować swoje prace - fotografie, był profesor matematyki Józef Staniszewski.



Pierwsza w Galerii wystawa fotograficzna „Wędrowki fotograficzne Józefa Staniszewskiego po Ziemi Limanowskiej” - lipiec 1984 rok.

► Aleksander Majerski, rzeźbiarz:
 - To już tyle lat? Przecież „niedawno” jeszcze podziwiałem nostalgiczne fotografie śp. pana profesora Józefa Staniszewskiego, których uzupełnieniem były moje ciemne rzeźby. I przez ten krótki ćwierćwieczy okres czasu tyle wystaw, tyle wspaniałych ludzi, niezapomnianych przy tym okazji wspomnień, rozmów przy lampce wernisażowego wina... A dyrektorka pełna zapału i entuzjazmu, zawsze każdego artystę potrafi ze swoistym urokiem przedstawić, ujawnić ciekawe i pozytywne cechy osobowości i twórczości, gdzie niekiedy sami twórcy mogą wiele się dowiedzieć, czego i ja sam namacalnie doświadczyłem. Tego wszystkiego nie da się opisać, bo przecież ta wspaniała historia nadal się toczy. Miejska Galeria Sztuki żyje, rozwija się pełnią życia i następne młode talenty ujawnia. Nic tylko Pani Halince pogratulować... i na następne prezentacje sztuki, muzyki i poezji przychodzić! To owocuje i przyciąga jak magnes do tego magicznego stworzonego przez Halinkę miejsca.



Twórczość Wincentego Gawrona (m.in. grafiki „Polskiej Drogi Krzyżowej”) - prezentowana w ramach wystawy „Oni rozstawiają region” - 1993 rok.

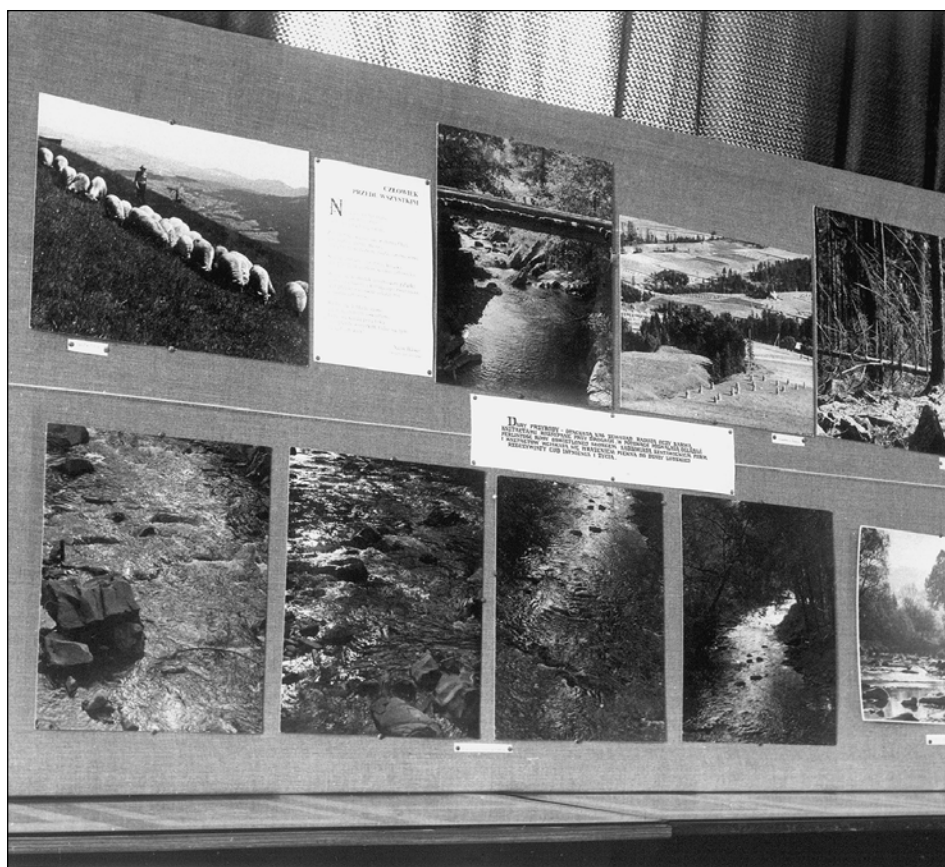
Sala druga

Każdy wernisaż w Galerii Sztuki przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Limanowej jest wydarzeniem kulturalnym. Dyrektor Halina Matras „od serca” prezentuje artystę czy całą ich grupę. Twórca zabiera głos, tłumacząc się z tego co „popelniał”. Całości dopełnia mu-

zyka albo poezja. A potem można już chodzić od pracy do pracy, rozmawiać, dyskutować. I często to obcowanie ze sztuką staje się zarzewiem trwających do późna dysput. Klimat artystycznej bohemy. Choć miejsce tak niepozorne.



Fragment wystawy prac zgłoszonych na konkurs „Moje miasto Limanowa w 1984”



Wystawa Józefa Staniszewskiego „Felietony fotograficzne” - 1991 rok.

Marian Wójtowicz, rzeźbiarz: - Galeria może być gdziekolwiek, w szopie, w namiocie, czy na murach – jak w Krakowie. To nie miejsce tworzy magię galerii, lecz ludzie. Nasza limanowska galeria kierowana jest przez panią Halinę Matras. To pani Halina jest dobrym duchem tego miejsca, bez niej by go nie było. To ona była pomysłodawczynią i głównym jej organizatorem. To ona stworzyła tę galerię i jej nastrój.

Na drugim miejscu umieściłbym ludzi, którzy tu przychodzą. Ponad sto osób, które są entuzjastami sztuki i przybywają na wernisaże, by się spotkać, pogadać. Ale też tych, którzy w czasie trwania wystaw przygotowują tu swoje rodziny, znajomych, uczniów.

Na samym końcu umieściłbym artystów, którzy są najmniej ważni. Jak nie ten, to znajdzie się inny. Wystawiają, bo od tego są, od tego są artystami, by tworzyć i wystawiać, i wielu wystawia gdzie popadnie i jak popadnie, ale nigdzie nie ma tej atmosfery, jaka panuje w tutaj. Tu czeka się nawet do półtora roku na to, by na okres miesiąca umieścić swoje prace. W tej galerii chcą się wystawiać artyści spoza terenu, bo tu wypada być, żeby pochwalić się wspaniałym folderem, dokumentem na to, że tu właśnie się było i tu wystawiało się swoje prace.



Rzeźby Aleksandra Majerskiego - 1991 rok.

Sala trzecia

Przez ćwierć wieku w galerii odbyło się ponad dwieście wernisaży. Średnio co miesiąc organizowany jest nowy. Prezentują się tu artyści z Limanowszczyzny, ale też twórcy z całej Polski i z zagranicy. Swoimi pracami w trzech salach dzielą się profesjonaliści i amatorzy – rzeźbiarze, malarze, graficy, fotograficy, tkacze, hafciarze... Całe spektrum twórcze.

Halina Matras, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej: - Galeria jest otwarta na wszelkie propozycje zarówno twórców jak i odbiorców. Średnio co miesiąc zmieniane są ekspozycje. Świadczy to o zainteresowaniu: artystów do prezentowania swych dzieł, chętnych do zwie-

dzania, jak również o renomie, jaką na przestrzeni lat wyrobiła sobie Miejska Galeria Sztuki wśród lokalnej społeczności. Poza tym inauguracyjne wernisaże tworzą dobrą sposobność do spotkań i wymiany poglądów przedstawicieli środowisk artystycznych oraz miłośników sztuki. Przez to jest to miejsce szczególne. Tę „magię” galerii czuję w atmosferze każdego wernisażu. Chyba wszystkim udziela się klimat wielkiej sztuki, odrywamy się od dna codzienności, przenosimy w inny świat. Przed każdym wernisażem mam dużą treść, ale też dużą satysfakcję. Przysnaję, Kocham to co robię. A każdą pracę przedstawianą w naszej galerii pieczę wzrokiem.



„Oni rozślawiają region” - wystawa zorganizowana w 1993 roku.

Eugenia Michałowska nie żyje

Dziedziczka dworu w Laskowej zmarła w wieku 75 lat 11 września tego roku, niemal równo 5 lat po swoim mężu Antonim, od którego była 10 lat młodsza.

Ktoś kiedyś przy mnie wyrażał podziw dla poświęcenia Pani Eugenii, że posiadając wygodne mieszkanie w Gdańsku, liczne grono przyjaciół i znajomych, także z okresu działalności związanej z podziemną „Solidarnością”, a wśród nich osoby o znanych w Polsce nazwiskach, tak łatwo zdecydowała się diametralnie zmienić życie i wyruszyć na niepewne na drugi kraniec Polski. Po to tylko, by mąż mógł mieć po kilkudziesięciu latach satysfakcję powrotu na swoje. Mając już wtedy przyjemność bliższej znajomości gospodarzy laskowskiego dworu, mogłem się z tym zgodzić, ale wiedziałem też, że chodzi o coś więcej. Są bowiem ludzie, a właściwie Ludzie, którzy zawsze mają misję do spełnienia. Pan Antoni Michałowski – rocznik 1924 - swą młodość wojenną poświęcił służbie w AK, wygnany wraz z rodziną w 1945 r. znalazł się wraz z rodziną na Wybrzeżu i zaangażował się wraz z rodziną w odbudowę Gdańska (jego ciotka, arystokratka przecież, otrzymała nawet wysokie peerelowskie odznaczenie za szczególne zaangażowanie w zagospodarowanie Żuław), a w latach 80-tych jako właściciel mniej rzucającej się w oczy służb bezpieczeństwa taksówki, bardzo bywał przydatny jako kurier, także w bliskim otoczeniu Wałęsy. Tak więc przybycia do Laskowej po 1989 r. państwo Michałowscy nie traktowali jako okazji do ewentualnego odzyskania wielkiego majątku rolnego i leśnego, choć na początku lat 90-tych różne się rysowały perspektywy reprivatyzacji. Ale oni po prostu swój dwór i kilkanaście arów z przyległego parku „odkupili”. W stanie tak opłakanym, że trzeba było szybko spieniężyć, co tam w Gdańsku zostało i remontować „dom pański”, pamiętając, że jest to też najstarszy drewniany dwór w Polsce. I ani przez myśl im nie przeszło, że ma on służyć wyłącznie im, bez możliwości dostępu dla obcych.

Tych obcych, którzy po przestąpieniu progu przestawali już być obcymi, przewinięło się w ciągu kilkunastu lat wiele tysięcy. Docenił to miesięcznik „Spotkania z Zabytkami”, przyznając p. Eugenii Michałowskiej „Laur Roku 2008” prestiżową nagrodę za najwyższą ocenioną w skali kraju zasługą „w udostępnianiu odrestaurowanego i utrzymanego w należytych stanie zabytku architektury”. Postępujące pogorszenie zdrowia nie pozwoliło pani dziedzicze osobiście odebrać nagrody na obchodach Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków w Gostyniu w Wielkopolsce; pojechał tam (też kontuzjowany po wypadku) jej syn Paweł. Dla właścicieli dworu w Laskowej był to jeden z nielicznych powodów do satysfakcji. Bo na miejscu o uznanie zasług było jakoś dziwnie trudno.

Znając panią Eugenię od lat kilkunastu, byłem pod wrażeniem świata, jaki reprezentowała. Można się było czasem nie zgadzać z jej niektórymi poglądami. Zrozumiałe było, że takie mieć musi jako dziedziczka z tytułem szlacheckim – co może dziś nic nie znaczyć lub znaczyć bardzo dużo. Może też zaufanie wobec polityków, Jej zdaniem tych na odpowiednim miejscu, było zbyt daleko idące. Ale czy to nie wina tych władających Rzeczpospolitą, że wiara w ich dobre intencje może być tylko naiwna? Podziw u pani Eugenii budzić musiała przy tym wszystkim tolerancja dla poglądów innych ludzi, zwłaszcza, gdy w ich postawie dostrzegała coś



Pani Eugenia zawsze była pogodna dla ludzi.

dobrego. Bo miała dany dar wyszukiwania u bliźnich cech pozytywnych. Różnie bywało „w różnych kadencjach” w stosunkach dworu z gminą. Tym bardziej mogło dziwić, gdy nawet w okresach otwartego konfliktu, słyszało się reakcję na jakieś inne działania lokalnej władzy: „A jednak próbują zrobić coś dobrego!”

Natomiast każdy kto do laskowskiego dworu zaszedł, choćby i ten, któremu wstyd powinien zagrozić tam drogę, stawał się gościem i jako gość był traktowany.

Dobrze było ciepłą porą pod godną Kochanowskiego lipą, a zimą w „domu pańskim” posiedzieć, niespiesznie gwarząc o rzeczach istotnych czy takich sobie lub nawet wspólnie pomilczeć, słuchając jak płonąć huczą bukowe - jak należy - polana w piecu. A latem jak głośniejszą niż pobliska rzeka szumi samochodami szosa pędząca w świat priorytetów tak innych od prostych wartości bielejącego na pagórku dworu nad Łososińką. Dworu pachnącego żubrówką, która z rodzinnego pani Eugenii Podlasia via Gdańsk trafiła do Laskowej i rośnie jak w puszczy przed domem, a ususzona nasączyła swym aromatem modrzewiowe ściany. I tak już pewnie będzie. Ciągłość tradycji tworzących kulturową tożsamość tworzą rzeczy wielkie i drobniejsze codzienne, które tym najważniejszym nadają życie.

Gdy przed laty państwo Michałowscy „nastali” z powrotem we dworze, wewnątrz była ruina bez prądu i nawet myszy, które z nędzy pouciekały.

- Zapaliliśmy we wszystkich pomieszczeniach świece – wspominała pani Michałowska - i na przekór wszystkiemu świętowaliśmy z radością powrót. I wtedy do drzwi zapukała policja przekonana, że wewnątrz biesiaduje element lub budynek się pali. I oni też się ucieszyli, że będą mieli o jedną melinę pijacką mniej!

Nic dodać, nic ująć, docenić odwagę powrotu.

Pani Michałowska nie żyje. Żyjącym pozostaje obowiązek przynajmniej dobrej pamięci na jaką zapracowała.

Pozostał też syn Paweł i córka w Toronto. I nie tak liczna grupa przyjaciół domu, i może trochę liczniejsza tych, którzy też tu zwabieni pięknem żyjącego zabytku trafili. I należy mieć nadzieję, że dobrej woli wystarczy, by najstarszy drewniany dwór szlachecki w Polsce utrzymać przy życiu.

Zbigniew Sułkowski



Rzeźba wykonana przez Aleksandra Majerskiego, przekazana dla polskiej szkoły na Zaolziu. Obok artysta przy pracy.
Poniżej: Zygmunt Kłosowski przy pracy nad rzeźbą „Złotogłowiec”.

Plener malarsko-rzeźbiarski

Na zaproszenie Prezesa Polskiego Stowarzyszenia Artystów Plastyków w Republice Czeskiej Pani Dariny Krygiel oraz Komisarza Pleneru Pawła Wałacha wraz z Zygmuntem Kłosowskim braliśmy udział w III Międzynarodowym Plenerze Malarsko-Rzeźbiarskim w Ligotce Kameralnej (Komorní Lhotka w Czechach).

Razem z Zygmuntem reprezentowaliśmy tam naszą Limanową. Przez dwa tygodnie artystyczne dusze (w liczbie dwudziestu trzech) zmagaly się twórczo i towarzysko! Poznaliśmy w ten sposób i nawiązaliśmy bardzo miłe kontakty z wybitnymi Artystami z Polski, Czech i Słowacji...

Mnie osobiście na tym plenerze zajął czas bardzo dużych rozmiarów dębowy kłoc. Rzeźba, która z niego powstała, przeznaczona została dla polskiej Szkoły im. Jana Kubisza na Zaolziu. Warto tu wspomnieć, że Jan Kubisz, wielki polski patriota, nauczyciel, poeta, pamiętnikarz i działacz Śląska Cieszyńskiego, w 1869 roku rozpoczął nauczycielską pracę w tej szkole i

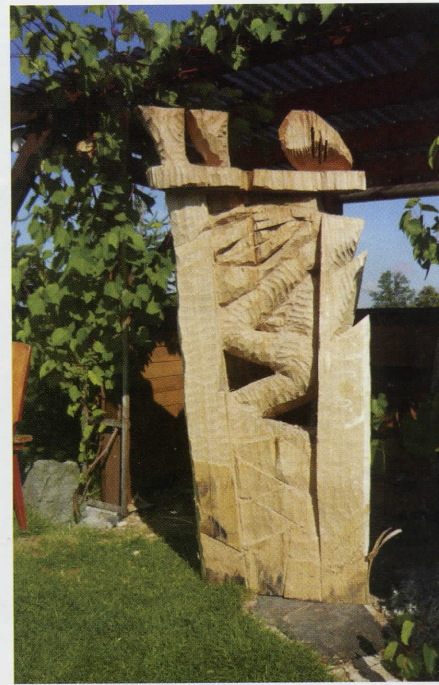
został jej dyrektorem. Jego autorstwa wiersz pt. „Płyniesz Olzo” (śpiewany na melodię „Wisło moja”) stał się hymnem Zaolzia. Wydał on też książkę: „Pamiętnik starego nauczyciela” (1928 r.). Więcej informacji o tej bardzo znanej i szanowanej postaci na Zaolziu można znaleźć w internecie.

W swojej rzeźbie wykorzystałem słowa Jana Kubisza: „Wnuk usiądzie na twym brzegu dumać nad przeszłością i żyć będzie dla swej ziemi czynem i miłością”. Z wiersza „Płyniesz Olzo”.

Natomiast Zygmunt Kłosowski opracował rzeźbę pt. „Złotogłowiec”, nawiązując do legendy związanej z widoczną ze wszystkich stron górą Godula - gdzie wąż (po czesku rodzaj żeński) w złotej koronie pilnował skarbu...

Wszystkie plenerowe prace można teraz oglądać na wystawie poplenerowej w Starym Teatrze w Czeskim Cieszynie, a 20 listopada jesteśmy zaproszeni na odsłonięcie rzeźb i spotkanie z polską młodzieżą uczęszczającą do tej szkoły.

Aleksander Majerski





JASEŁKA LIMANOWSKIE





Jasełka wystawiane w Teatrze Ziemi Limanowskiej cieszyły się ogromną popularnością. Salę „Sokoła”, w której się odbywały, widzowie wypełniali po brzegi. Fotografie pochodzą z końca lat pięćdziesiątych XX wieku.





ŻWIROWNIA

ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH 32-840 Zakliczyn, Charzewice
tel. 014 66 59 193, fax: 014 66 59 158

W nowoczesnym zakładzie uszlachtniania kruszyw naturalnych w Charzewicach k. Zakliczyna produkujemy kruszywa do betonu oraz do mieszanek mineralno - bitumicznych. Nasza oferta zawiera następujący asortyment:

- piasek płukany 0-2 mm, grys 2-4 mm, grys 4-8 mm, grys 8-12 mm
grys 8-16, mieszanki mineralne 0-16 mm, pospółka 0-63 mm

WYROBY BETONOWE

Zakład jest producentem prefabrykatów betonowych, służących do regulacji rzek i potoków, oraz do budowy kanalizacji i dróg. Zabezpieczamy produkcję dla potrzeb własnych oraz odbiorców zewnętrznych

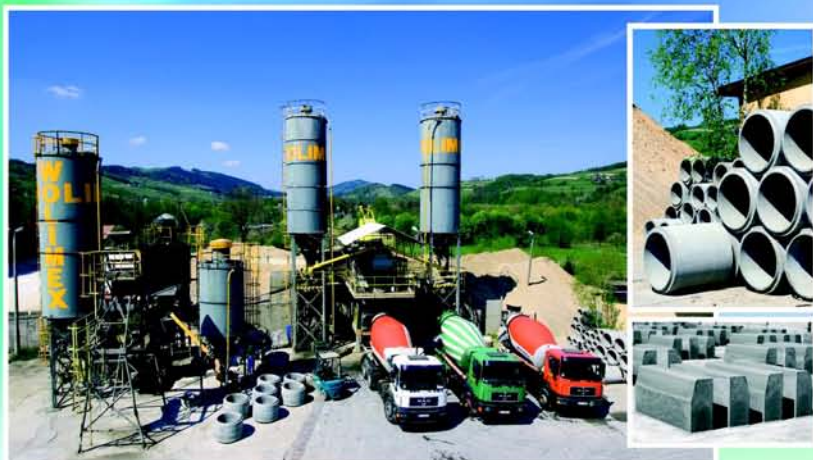
Posiadamy komputerowo sterowany węzeł betoniarski do produkcji masy betonowej.

Produkowane prefabrykaty betonowe:

- rury i kręgi betonowe
- pokrywy betonowe
- korytka ściekowe
- płyty chodnikowe
- obrzeża trawnikowe
- płyty ażurowe, jomb (małe i duże)
- płyty i krawężniki drogowe

Oferujemy również masę betonową wraz z transportem i pompą do betonu Stetter.

tel. 018 33 76 862



WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

34-600 Limanowa, ul. Tarnowska 33, tel. (018) 33-76-100, fax (018) 33-76-159

<http://www.wolimex.com.pl>, e-mail: biuro@wolimex.com.pl



Rozwój mimo kryzysu

Kryzys na rynkach europejskich nie wpłynął znacząco na kondycję niektórych polskich przedsiębiorstw. „Byliśmy przygotowani na jego ewentualne skutki” – mówi prezes firmy „GoldDrop” Stanisław Gągała. „W sierpniu i we wrześniu ubiegłego roku podjęliśmy doraźne działania. Ponadto zawsze staraliśmy się prowadzić firmę tak, aby się nie zadłużyć i nie wpaść w pułapkę przeinwestowania. Dziś „GoldDrop” produkuje i sprzedaje więcej niż w ciągu kilkunastu lat działalności, a osiągnięte w trzecim kwartale br. wyniki handlowe są najlepsze w historii firmy. Według rankingów, „GoldDrop” zajmuje 5. miejsce na rynku chemicznym. Wprowadzamy nowe produkty i realizujemy nowe inwestycje”.



Wręczenie X Diamentu do Statuetki Lidera Polskiego Biznesu. Nagrodę wręcza Dorocie Janczy-Stożek marszałek Sejmu RP Bronisław Komorowski.

Inwestycje, produkty

Inwestycje, o których wspominał prezes Zarządu Stanisław Gągała, to przede wszystkim rozpoczęta już modernizacja i rozbudowa bazy mieszalniczo-rozlewniczej. W siedzibie firmy na Rzecznej zostanie powiększona powierzchnia hal produkcyjnych, nastąpi wymiana maszyn mieszalniczych. Ze względu na brak miejsca przedsiębiorstwo podejmie starania o zakup terenu pod budowę bazy logistycznej w okolicach Limanowej. Tam powstanie centrum logistyczne o powierzchni kilku tys. m², zapewniające sprawne funkcjonowanie firmy przez kolejne kilkanaście lat. „Chcemy osiągać dużo większą produkcję i sprzedaż” – mówi prezes S. Gągała. „GoldDrop” zmodyfikował dotychczasową ofertę o m.in. DIX odkamieniacz, DIX PROFESSIONAL, proszek do prania BOOSTER, płyn WINDOW PLUS LEMON FRESH. Na rynku pojawiły się również nowości: mydło Me-

dea w trzech wersjach zapachowych, a także seria ECO-LINE płyn do mycia naczyń oraz uniwersalny płyn do mycia powierzchni. Produkty ECO posiadają wspólnotowe oznakowanie ekologiczne ECO LABEL (w postaci kwiatka) będące oficjalnym europejskim wyróżnieniem dla tego typu produktów.

Mimo kryzysu firma nadal realizuje umowy z zachodnimi i wschodnimi kontrahentami, a ostatnio osiągnęła duży sukces na rynku niemieckim. Po raz kolejny „GoldDrop” przedstawił swoją ofertę na targach PLMA (targach marki obcej w Amsterdamie).

Nowe nagrody i wyróżnienia

O nowych nagrodach i wyróżnieniach dla „GoldDropu” mówi dyrektor Biura Zarządu Dorota Janczy-Stożek: „Otrzymane w 2009 roku nagrody przy-

znane dla firmy oraz produktów są świadectwem, że „GoldDrop” wciąż się rozwija i jest wysoko oceniany w rankingach”. Od firmy Dun and Bradstreet „GoldDrop” otrzymał Certyfikat „Przejrzystej Firmy”, będący wyrazem wiarygodności i uczciwości finansowej przedsiębiorstwa.

W lutym br. dyrektor handlowy Paweł Tokarczyk odebrał w Rawie Mazowieckiej dwie nagrody, przyznane przez Biznes Raport w Gazecie Prawnej oraz PCBC i Srebrną Statuetkę „Jakość Roku” dla firmy oraz tytuł „Jakość Roku” dla mleczka DIX. To już drugie tego typu wyróżnienie dla produktu – w ubiegłym roku otrzymał je płyn Gold Cytrus.

Magazyn „Życie Handlowe” przyznał tytuł Przebojowego Produktu FMCG 2009 dla płynu do mycia szyb Window Plus, krochmal Ługa flower otrzymał wyróżnienie „Perły rynku” w kategorii płynów do prania w plebiscycie wśród czytelników „Wiadomości Handlowych”.

Potwierdzeniem utrzymania pozycji na rynku i wysokiej jakości zarządzania jest Dziesiąty Diament do Złotej Statuetki Lidera Polskiego Biznesu, wręczony podczas Letniej Gali BCC, odbywającej się pod hasłem: „Ci, którzy przelamują kryzys”. W tym roku prestiżową nagrodę odebrała z rąk marszałka Sejmu RP Bronisława Komorowskiego Dorota Janczy-Stożek – dyrektor Biura Zarządu „GoldDrop”.

Przed Galą Przedsiębiorczości

Obecnie firma przygotowuje się do organizowanej po raz piąty Gali Przedsiębiorczości Powiatu Limanowskiego. Uroczystość odbędzie się w Mszanie Dolnej w nowoczesnych obiektach „Foksal” 9 listopada br.

„Obchodzimy mały jubileusz” – mówi prezes Rady Przedsiębiorczości S. Gągała. „Z roku na rok dostrzegamy bardzo duże zainteresowanie ze strony przedsiębiorców. Gala staje się ważnym wydarzeniem, gromadzącym przedstawicieli biznesu. W tym roku udział zapowiedzieli przedstawiciele Rządu RP, władz wojewódzkich i parlamentarnych. Ten dzień daje nam, przedsiębiorcom, możliwość spotkania się, wymiany doświadczeń, a przede wszystkim świętowania sukcesów.

Iłona Machowicz-Jurowicz

Zakopiańskie i limanowskie kapliczki -

Pisał Zygmunt Kłosowski w 176 – 177 numerze „Echa”: *Dziadek Karol miał nietypowy stosunek do świata. Starał się go udoskonalić, ale tylko pod względem estetycznym – to było to, co najlepiej ogarniał.*

Był człowiekiem religijnym, więc pewnie wiązała się z tym wątpliwość - jakże to poprawiać estetykę świata po Panu Bogu? Może więc i dlatego sporą część jego twórczości zajmują kapliczki - czy jako gotowe obiekty, czy temat obrazów.

Kapliczki od dawna stawiano z różnych motywacji i dla różnych intencji - św. Jana sytuowano nad wodą, by strzegł od powodzi, św. Floriana pośrodku zabudowy, by strzegł od ognia, krzyż czy figura na rozstajach dróg miały odpędzać gromadzące się tam, według pogańskich jeszcze wierzeń, siły zła. Były i są kapliczki fundowane jako osobiste vota czy znak ekspiacji. A są niewątpliwie i takie, które wzniesiono, „bo miejsce takie ładne”. Warto by tu rzucić okiem na reprodukowane w nr. 176 – 177 „Echa” obrazy Karola Kłosowskiego przedstawiające podtatzańskie kapliczki lub ich projekty. Nawet na czarno- białej fotografii widać jak dobrze się one wpisują w krajobraz, a nawet więcej – one piękno świata bożego uzupełniają. Ktoś powie – drobiazg! Ale ważny, bo dużo niestety bywa obiektów sakralnych, które swą brzydota Panu Bogu urągają. Nie? To spójrzmy choćby na projekty architektoniczne limanowskiego kościoła sprzed 100 lat w wymienianym już numerze „Echa Limanowskiego”. Chwała wysokiej komisji konkursowej, że wybrany został projekt ten zrealizowany (Mączeńskiego).

Różnego typu i kształtu kapliczki – polne, leśne, śródmiejskie i „śródwiejskie” powstawały i powstają u nas licznie. Kiedyś dominowały małe drewniane i te większe murowane na glinie z kamieni polnych, bielone wapnem i zwykle gontowym daszkiem zwieńczone. Z czasem wśród tych mniejszych pojawiły się metalowe, a wśród większych te murowane z cegieł i pokryte szlachetnym tynkiem; ostatnio też te styropianowe czy z żywicznych odlewów - po prostu, jak w całym budownictwie, technologiczny postęp. I bardzo dobrze. Ale jak ktoś rozwala starą z dziada pradziada, więc może jak na dzisiejszego „właściciela” zbyt ubogą kapliczkę, by na jej miejscu postawić styropianowe cudo, to czy to grzech - nie wiem, ale barbarzyństwo bez wątpliwości. Tak też właśnie unicestwiono niedawno murowaną kapliczkę o oryginalnej architekturze postawioną przez włoskich kamieniarzy pracujących w latach 1882 – 84 przy budowie linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz.

Przy tym, jak wspomniałem, bywa, że te nowe nie zachwycają dziwactwem formy, czasem szokują „artystycznymi” conceptami (święta figura z oczami ze świecących kryształków!) a już bardzo często zupełnie nie współgrają z otoczeniem. Jest to zresztą utrwalona od lat negatywna strona naszej architektury krajobrazu, pytanie czy kapliczki nie powinny być od tego chlubnym wyjątkiem?

Artysta, jak już jest, to jest po coś. Karol Kłosowski, który nawet drewniany lamusik przy swej willi wyczelował snycerką, by nie był dysonansem dla domu, tym bardziej się starał o wysoki kunszt swych projektowanych i wykonanych „kaplicosek”, jak to zakopiańscy sąsiedzi mawiali. Oczywiście były one naznaczone młodopolską manierą swoistej podhalańskiej secesji (bar-



Restaurować czy burzyć?

dzo zresztą wdzięcznej) nie były przy tym kopiami uznanych za przykład idealny wzorów „witkiewiczowsko-zakopiańskich”. Bo rzeczą artysty jest szukanie własnych form wyrażenia, nawet jeśli opiera się o kanon piękna ostatecznie usankcjonowany.

Widac to również na przykładzie owych kilkunastu kapliczek w Męcinie i okolicy projektu Jolanty i Zygmunta Kłosowskich - to nie jest powtarzanie dziadkowych pomysłów artystycznych, to jest ich współczesna kontynuacja.

Tekst i fotografie: Zbigniew Sulkowski

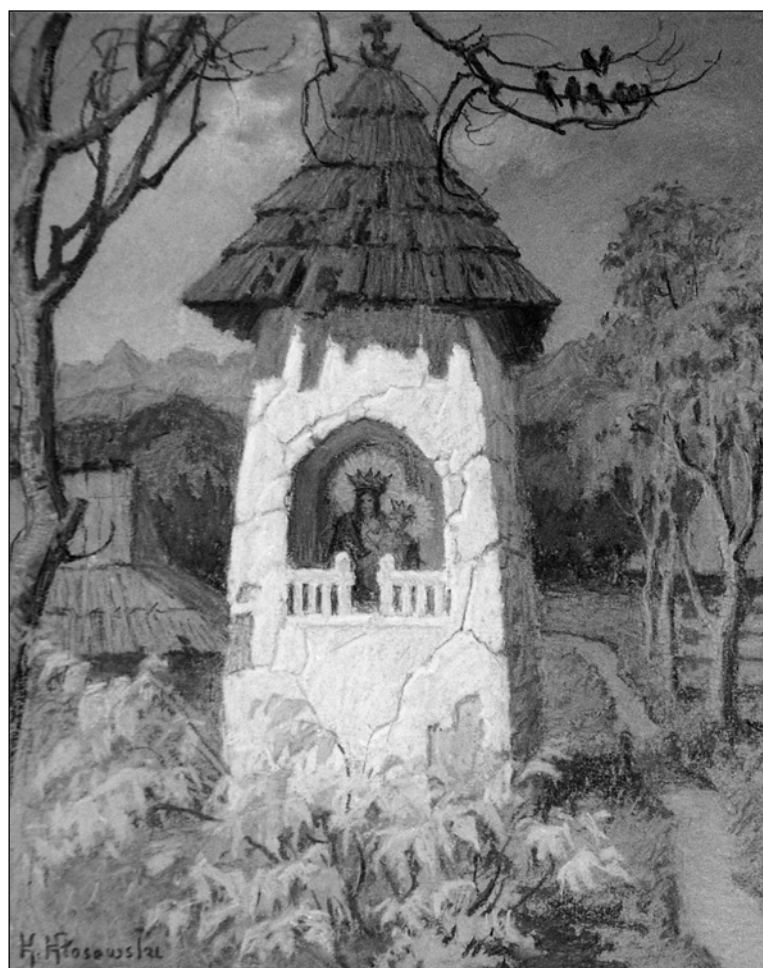


- Kłosowskich i nie tylko



Projekty kapliczek wykonane przez Karola Kłosowskiego na zamówienie ks. Józefa Winkowskiego.

Kapliczki w Męcinie, powstałe wg. projektów Jolanty i Zygmunta Kłosowskich.



We wrześniu minęła rocznica śmierci Janiny Bączowskiej, przedstawicielki czteropokoleniowego rodu limanowskich farmaceutów. O historii apteki „Pod Gwiazdą” w Limanowej pisaliśmy w „Echu Limanowskim” w artykule Macieja Bileka w numerze 164-165 z maja 2008 roku.

Ostatnio ukazała się na rynku wydawniczym publikacja zatytułowana „Apteki i aptekarze południowej Małopolski do 1951 roku” autorstwa dr. farmacji Macieja Bileka.

W jednym z rozdziałów tej książki (na stronach 303-325) jest opisana historia apteki w Limanowej, która od początku swego istnienia należała do kolejnych przedstawicieli tej samej rodziny. W tym właśnie rozdziale autor przytoczył w całości bardzo ciekawy esej wspomnieniowy dotyczący okresu okupacji napisany przez Janinę Bączowską, a zatytułowany „Stały dyżur”. Ukazał się on w pomnikowej książce „Wspomnienia farmaceutów z lat 1939-1945” – opracowanej przez Witolda Włodzimierza Głowackiego.

Ten właśnie esej prezentujemy Czytelnikom „Echa”.

Stanisław Ociepka

Stały dyżur

Maciej Bilek



Apteka „Pod Gwiazdą” w Limanowej mieściła się przy ulicy Krakowskiej - dziś Jana Pawła II.



Idące ulicą Krakowską na dyżur do apteki. Od prawej: Janina, Klementyna i Krystyna Bączkowskie - 1943 rok.

W latach 1939-1945 pracowałyśmy obydwie z siostrą jako praktykantki w aptece naszej matki mgr Klementyny Bączkowskiej w Limanowej, a więc na terenie ówczesnej Generalnej Guberni. Oto garść wspomnień z tych lat, które pozostały w mojej pamięci:

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. panuje nastrój ogólnego podniecenia i napięcia wśród społeczeństwa, co odbija się również na pracy w aptece. Ruch w niej wzrasta, ludzie zaopatrują się w leki pierwszej pomocy. Na zapleczu apteki terkocze maszyna, która szyje tampony z gazy w miejsce brakujących masek gazowych.

Nadchodzi dzień 1 września. Przez głośniki radiowe rozchodzi się wiadomość o wybuchu drugiej wojny światowej. A w małej prowincjonalnej aptece w podkarpackiej miejscowości pracy coraz więcej,

ponieważ wzrasta liczba chcących zaopatrzyć się w niezbędne leki. Przez miasteczko przechodzą pierwsi uciekinierzy. Za nimi podążają również mieszkańcy naszej miejscowości. Wyjeżdżają też miejscowi lekarze. Pozostaje tylko mała garstka mieszkańców, a wśród nich farmaceutka na swoim posterunku.

Apteka jest cały czas czynna i ona przez parę tygodni, ciężkich pierwszych tygodni okupacji hitlerowskiej, jest ostoją i pomocą dla ludzi chorych. Wybucho epidemia czerwonki, nie ma lekarzy, chorzy więc przychodzą po poradę do apteki. Z zapasu surowców wykonuje się potrzebne lekarstwa, uświadamiając równocześnie chorych o podstawowych zasadach higieny i ucząc ich, jak należy postępować, aby uniknąć rozszerzenia się epidemii. Zmęczone i przeciążone już pracą w

dniach wybuchu wojny pracujemy nadal ponad siły przez całe dnie i noce, nie myśląc o jedzeniu i wypoczynku. Apteka nasza jest jedyną czynną placówką służby zdrowia w mieście i okolicy.

Powoli epidemia wygasa, wracają uciekinierzy, okupant wprowadza twardy reżim hitlerowski. Okupacja trwa i mimo ciągłej nadziei, że wojna skończy się szybko, trwa długie lata. Te pięć lat to dni ciągłych starań o należyte zaopatrzenie apteki w leki, to stałe pokonywanie trudności transportowych, szukanie dostawców, aby tylko ludność polska mogła potrzebne leki otrzymać w dostatecznej ilości i we właściwym czasie.

Do pracy w aptecę zgłasza się zamieszkały w naszym miasteczku student pierwszego roku farmacji UJ, Jan Rusin, i od tej chwili nasze grono liczy cztery osoby, w tym tylko jeden magister farmacji.

Ale II wojna światowa na naszych terenach górskich to również walka na tyłach. W Gorcach powstają oddziały partyzanckie, a ich dowódcy zwracają się do apteki z prośbą o zaopatrywanie w konieczne leki, środki opatrunkowe, znieczulające i surowice. Nie można im odmawiać, przecież to walczą polscy chłopcy o wolną Polskę. Z narażeniem życia pracownicy apteki dostarczają więc do lasu całe skrzynie leków, opatrunków i żywności. Mijają dni trudnej pracy, obfitującej w dramatyczne, pełne napięcia nerwowe sytuacje, ale jakoś się wszystko udaje. Okupant mimo wielkiej czujności nie zauważa stałych kontaktów apteki z partyzantami. Walka podziemia trwa, coraz więcej chorych i rannych.

Apteka dostarcza również żywność i leki do obozu jeńców radzieckich, wysyła paczki do oflagów i stalagów.

Sprawy młodzieży i jej przyszłości też nie są obce naszej matce. W mieszkaniu przyległym do apteki odbywają się wykłady i egzaminy z zakresu średniej szkoły, prowadzone przez profesorów uniwersyteckich i gimnazjalnych. Przejście przez aptekę nie zwracało uwagi władz okupacyjnych na często odwiedzających nasze mieszkanie młodzieży i profesorów.

Jest rok 1944 — wojna zbliża się do końca, a dla nas to jeszcze dni tragicznych przeżyć. Pewnego dnia nie przychodzi do pracy wspomniany już kolega, Jan Rusin. Zostaje aresztowany przez gestapo za przy-

należność do AK i pod zarzutem wykonywania fotografii do fałszywych kennkart. Pomimo dzielnej postawy i nieprzyznania się do winy w czasie śledztwa rozstrzelano go wraz z kilkoma innymi towarzyszami walki 22 czerwca 1944 r. na Rdziostowie w Marcinkowicach pod Nowym Sączem.



W limanowskiej aptece. Od lewej: Klementyna Zubrzycka Bączkowska (właścicielka apteki), obok córka Janina. Z tyłu stażysta Jan Rusin - lata okupacji.



Janina Bączkowska przy pracy na zapleczu apteki. **Poniżej:** Przed wejściem do apteki „Pod Gwiazdą”.

Łącznicy przynoszą do apteki zaszyfrowane recepty, a narkotyki i eter wydawane są na recepty lekarzy partyzantów lub lekarzy weterynarii. Środki te są niezbędne do zabiegów operacyjnych przeprowadzanych gdzieś w chacie wiejskiej w prymitywnych warunkach, przy lampie naftowej. Po odbiór leków zgłaszają się członkowie organizacji podziemnych w przebraniu góralskim i na oczach wartownika niemieckiego przy znajdującej się obok apteki Ortskommandantur wnoszą ciężkie skrzynie na furmanki, zostawiając pokwitowania, bo pieniędzy na zapłacenie nie mają.

A w miasteczku życie toczy się niby normalnym torem. W pierwszym okresie przyjeżdżają kolejne transporty rodaków wysiedlonych z Poznania, potem z Warszawy i okolic przyfrontowych. Znajdują oni w aptece pomoc finansową i leczniczą.



► Styczeń 1945 r. — front zbliża się do miasta, znowu kto żyw, ucieka w pobliskie lasy. My zostajemy na miejscu. Wybuchoł pożar w centrum miasta. Bierzymy więc czynny udział w jego gaszeniu i opatrujemy rannych. Wreszcie wkraczają pierwsze oddziały wojsk radzieckich, a z nimi nasi i radzieccy partyzanci. W aptecce zakładają aptekę polową. Nasze białe fartuchy wyróżniają się na tle szarych mundurów wojskowych.

Ludzie chorują, wciąż potrzebują pomocy i leków. Nasza matka i my wraz z nią nigdy nie opuściliśmy swojego posterunku, wykonując szarą codzienną pracę farmaceuty w poczuciu obowiązku wobec ojczyzny, społeczeństwa i zawodu. Stały dyżur, który pełniła miejscowa apteka, zawsze trwał.

Szereg cennych informacji dodała do powyższych wspomnień siostra pani Janiny Bączkowskiej, Krystyna Bączkowska-Cynke. Niemcy, często sami korzystający z usług apteki, do magister Klementyny Zubrzyckiej-Bączkowskiej podchodzili z wielkim szacunkiem, tytułując ją nawet Szanowna Pani. Przez cały okres okupacji partyzanci zaopatrywali się w aptecce nie tylko w leki i materiały opatrunkowe, ale też i w żywność. I leki, i chleb wystawiano do ogrodu, skąd odbierali je partyzanci.

Klementyna Zubrzycka-Bączkowska z córkami całymi nocami kleiły torebki na leki dla partyzantów z czystego, białego papieru. O wydaniu leków dla celów konspiracyjnych w opakowaniu firmowym nie mogło przecież być mowy! Poza lekami w limanowskiej aptece produkowano także i trucizny dla żołnierzy Armii Krajowej, które mogli zażyć w razie schwytania przez Niemców i wobec groźby tortur. Morfinę, całkowicie niedostępną w legalnej sprzedaży, kupowano u handlarzy narkotyków w Krakowie. Ustawiali się oni zawsze pod Sukiennicami.

Pani Krystyna Bączkowska-Cynke opisała szczegółowo wspomnianą tylko przez jej siostrę akcję, która odbyła się na oczach wartownika niemieckiego. Akcję prowadziła panna Czartoryska. Furmankę załadowano skrzyniami pełnymi leków, a robiono to w czasie, gdy obok przechodziły tłumy limanowian spieszących na nieszpory. Ponadto tuż przy aptece znajdował się posterunek niemieckiej żandarmerii. Do limanowskiej apteki kierowane były przydziały cukru do produkcji sirupus simplex. Wobec częstych braków w sklepach cukru spożywczego, apteczny cukier przekazywano najbardziej potrzebującym.



Po ćwiczeniach przy Skalecznej. Janina Bączkowska stoi (piąta od lewej) - 1947 rok.



W czasie studiów w Krakowie. Pierwszy rocznik studentów farmacji po II wojnie światowej - 1947 r.



Spotkanie w gronie emerytowanych farmaceutów 11 czerwca 2008 roku z okazji 60. rocznicy ukończenia studiów. Janina Bączkowska (trzecia z lewej), Krystyna Bączkowska-Cynke (trzecia z prawej).

Janina Bączkowska (1921 – 2008)

Urodziła się 2 czerwca 1921 roku w Limanowej jako córka Zdzisława Bączkowskiego i Klementyny z Wieniawów Zubrzyckiej. Dzieciństwo i młodość spędziła w Limanowej. W roku 1939 pomyślnie zdała egzamin na farmację na UJ, jednak ze względu na wybuch wojny do studiów nie doszło.

W okresie okupacji od stycznia 1940 do lutego 1945 roku wraz z siostrą Krystyną pracują jako praktykantki w aptece „Pod Gwiazdą” u matki w Limanowej.

Po zakończeniu wojny natychmiast wyrusza do Krakowa, aby podjąć studia farmaceutyczne. Ze względu na całkowity brak komunikacji, do Krakowa szła na piechotę, nocując w aptece w Gdowie.

Z czasów studiów zapamiętała bardzo ciekawy wykład prowadzony przez prof. Tadeusza Estreichera, ucznia prof. Karola Olszewskiego. Wykład przebiegał w podniosłej atmosferze, a dotyczył skroplenia powietrza. Zarówno studenci jak i profesor ubrani byli na galowo. Jedna ze studentek wręczyła profesorowi piękną czerwoną różę, którą zanurzył w pojemniku ze schłodzonym powietrzem, po czym wyciągnął całkowicie białą i zamrożoną.

Janina Bączkowska studia ukończyła 14 października 1948 roku, dyplom otrzymała 25 października. Powraca natychmiast do Limanowej i rozpoczyna pracę w prywatnej aptece matki „Pod Gwiazdą”. W styczniu 1951 roku dochodzi do upaństwowienia limanowskiej apteki. Kierownikiem zostaje Klementyna Zubrzycka-Bączkowska, która nie mogąc się pogodzić z nową rzeczywistością przekazuje kierownictwo córce Janinie. Na tym stanowisku pracuje Janina do 1958 roku, równocześnie angażuje się w organizację nowej apteki przy szpitalu w Limanowej-Sowlinach. Tam pracuje równolegle na niepełnym etacie w latach 1956-1958.

W 1958 roku funkcję kierownika apteki w Limanowej przekazuje siostrze Krystynie, sama zaś wyjeżdża do Bielska-Białej. Tam w marcu 1958 roku obejmuje w aptece otwartej pracę na stanowisku zastępcy kierownika. W listopadzie 1967 roku w międzyczasie organizuje aptekę w nowo powstałym sanatorium „Stalownik”, do którego przenosi się w lutym 1968 roku i pracuje tam do 31 lipca 1979 roku. Wtedy to przechodzi na emeryturę. Będąc już na emeryturze, podejmuje pracę w Bystrej Śląskiej w Specjalistycznym Zespole Chorób Płuc i Gruźlicy i pracuje tam do lutego 1990 roku. Ostatnią placówką, w której pracowała była prywatna apteka na Osiedlu „Złote Łany” w Bielsku-Białej (1993-1998).

Janina odziedziczyła po matce wszystkie pasje: do sportu, do podróży i do motoryzacji, zaś po ojcu do działalności społecznej. Wraz z siostrą Krystyną wiele wspólnie podróżowały - zwiedziły niemal całą Europę.

Była mocno związana z tradycjami wykonywanego zawodu farmaceuty. Świadczy o tym stały kontakt z tym środowiskiem. Od 1989 roku uczestniczyła systematycznie w spotkaniach rocznicowych pierwszych absolwentów krakowskiego Wydziału Farmaceutycznego. 11 czerwca 2008 roku z okazji 60. rocznicy ukończenia studiów w gronie emerytowanych farmaceutów Janina Bączkowska spotkała się z przyjaciółmi po raz ostatni (był to rocznik, który studia rozpoczął 1 kwietnia 1945 roku, zaledwie w dwa miesiące po wyzwoleniu Krakowa).

We wrześniu 2008 roku wybrała się w ostatnią podróż, 12 września nagle zmarła w Chorwacji. Pogrzeb odbył się 22 września w Limanowej, gdzie spoczywa w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym.



Janina Bączkowska - fotografia wykonana przez Jana Rusina w okresie okupacji.



Będąc na emeryturze Janina Bączkowska nadal pracowała.

Limanowscy poeci trafili na Słowację

Drugi dzień w znacznej mierze upłynął na zwiedzaniu Martina. Najpierw Turciańskiej Galerii z bogatym i różnorodnym zbiorem dzieł sztuki. Potem nieodległego Narodowego Muzeum Literatury, którego sama ekspozycja, jak i sposób jej prezentacji – by użyć młodzieżowego frazowania – po prostu niszczy. Mają Słowacy historię rozwoju swojej literatury i piśmiennictwa udokumentowaną przepięknie i nader obficie. Wysłać by tam naszych polskich decydentów od kultury, by zobaczyli i się napatrzyli *jak to się robi na Słowacji*. Żalowaliśmy, że ze względu na barierę językową ze słów przewodniczki oprowadzającej naszą całą grupę, mogliśmy wychwycić jedynie 5/10. Po południu jeszcze spotkaliśmy się wszyscy w Cafe Kamala, gdzie przy kawie odbyły się dysputy i asocjacje literackie w sensie ogólnym. Potem powrót na pensjonat i – tu nadprogramowa niespodzianka – męska część klubów literackich stanęła w boje turnieju Pétanque (*francuska tradycyjna gra towarzyska z elementami zręcznościowymi* – podaje Wikipedia) o prawdziwie szczerzoty puchar. Petang, z polskiego, to taki trochę curling, ale na łądzie, nie na lodzie. Zupełnie fajna, wciągająca gra. W Petang Cup (*pewna, młodsza część uczestników MPJ przekreślała nazwę turnieju na „...” - nie, lepiej nie piszmy* – przyp. red.) limanowski team wdrapał się na pudło i zajął 3 miejsce. Grając w tą dyscyplinę po raz pierwszy w życiu! Komentarz chyba zbędny? Potem kolacja, regionalna muzyka (z żywymi muzykami i regionalnymi instrumentami), powrót do pensjonatu i ...

Niedziela to niestety zakończenie MPJ. Śniadanie, ostatnie rozmowy, wymiana kontaktów, pożegnania i życzenia spotkania się na drugi rok. Po czym każdy rusza w swoją stronę. My jeszcze, przejeżdżając obok, zwiedzamy Orawski Podzamek i Zamek Orawski. Wczesnym popołudniem meldujemy się w Limanowej.

Na Martińskiej Poetyckiej Jesieni limanowski LKL był pierwszy raz i jako pierwsza ekipa z Polski w ogóle. Jest to jedna z niewielu tego typu imprez o zasięgu międzynarodowym, jakie organizuje się na Słowacji. Skupia przeróżnych ludzi, także wiekowo, których łączą zamiłowania literackie. Poziom organizacyjny jest bardzo wysoki i profesjonalny, a kapitalna atmosfera międzyludzka wytwarza się bardzo szybko. Bariera językowa staje się tylko różnicą językową, która i tak zanika. Reasumując – bardzo fajna impreza.

Poniżej komentarz limanowskich *młodych zdolnych*:

Aleksandra Wielek: Dostawszy zaproszenie na VI Martińską Jesień Poetycką pewnych trudności przysporzyło mi wyobrażenie sobie, jak takie spotkanie będzie wyglądać. „Międzynarodowe spotkanie poetyckie” - brzmiało co najmniej intrygująco i wisiał nad tym cień niezrozumienia właśnie dla poezji, która wszak miała być myślą przewodnią i duszą spotkania. Wisiał nad tym cień naszych słów - uwięzionych w ojczystym języku, rządzone własnymi prawami; cień ich słów, których nie będzie nam dane zrozumieć. Międzynarodowe spotkanie w sprawie poezji, międzynarodowe spotkanie poetów, owszem, ale prezentowanie własnych utworów międzynarodowej gawiedzi było dla mnie wizją bynajmniej stresującą. Przechodząc natomiast od moich obaw (które jak się okazało zostały połowicznie uspokojone ze względu na interpretacje naszych utworów poczynione przez Sławka, które potem przeszły przez translatorskie ręce Pana Milana), jestem zmuszona przyznać, że Martińska Poetycka Jesień oczarowała mnie i zapewne pod jej wpływem będę jeszcze przez długi czas. Wspaniała atmosfera, bogaty program spotkania plus świetni ludzie, którzy okazali ogromny entuzjazm, by się z nami porozumieć i jak najwięcej o nas dowiedzieć. Dostaliśmy gorące zaproszenie na siódmą edycję spotkania i obietnicę, że postarają się o polskie tłumaczenia twórczości ich klubów literackich. Byliśmy pierwszymi polskimi uczestnikami i mam wielką nadzieję, że (zgodnie z resztą z obietnicą) obecność Limanowskiego Klubu Literackiego na stałe wejdzie do programu spotkania poetyckie-

go, organizowanego co roku przez Martin. Co więcej, moja nadzieja wiąże się również z tym, że i nam uda się pójść w ich ślady i zaproszenie na spotkanie tego typu wypłynie kiedyś z Limanowej. Cóż, bo naprawdę warto i jest Martinowi czego zazdrościć.

Jacek Sejmiej: Na początku bałem się tego wyjazdu. Myślałem, że będzie tam drętwo i ogólnie rzecz biorąc będziemy siedzieć i recytować poezję, co w naszym przypadku byłoby jak tłumaczenie gorylom teorii względności. Tymczasem pomyliłem się srogo i mile rozczarowałem. Świetni ludzie, z którymi się świetnie dogadaliśmy i nawet naszą poezję rozumieli. Trochę tremy, ale co tam, lepszej okazji na poetycki debiut sobie nie wyobrażam. Jak to ujął Sławek „kapitalne relacje interpersonalne”. I ja się z tym zgadzam. Trzeba będzie przycisnąć kogoś w urzędzie, żeby wyłożył pieniądze na organizację czegoś takiego u nas, bo inaczej będzie wstyd.

Anna Przybylska: Na początku chciałabym podziękować przede wszystkim pani dyrektor Halinie Matras, dzięki której mogłam uczestniczyć w Martińskiej Jesieni Poetyckiej - serdecznie dziękuję! Chociaż od weekendu poetyckiego minęło już trochę czasu, to ciągle tam jestem... myślami. Trzy dni niezapomnianych chwil. Chwile niezapomnianych wierszy, spotkań, rozmów na każdy temat, śmiechów. Nowo poznani ludzie - Słowacy, Czesi, Węgrzy i nasz wspólny język - **poezja**. Mam cichą oraz głośną nadzieję, że za rok znów tam pojedę, aby zaprezentować swoją twórczość zainspirowaną Martinem i „paradnymi” Słowakami.

Ja chciałbym być poetą - może mnie przecież przyjmą - bo dla poety zakopane - nie trzeba wcześniej wstawać rano - a wstawać rano zimno...

Tekst: Sławek Łużny
Fotografie: Bogdan Skrzekut,
Anna Przybylska

W 70. rocznicę wysiedleń Polaków z Wielkopolski



Barbara Jackowska na tle szkoły w Sowlinach - 1942 r.



Karta rozpoznawcza - Kennkarte.



Na tle domu rodziny Wronów w 1944 r.

W grudniu br. minie 70. rocznica pierwszego transportu, jaki przybył do Limanowej z wysiedlonymi Polakami z Wielkopolski.

Limanowa, będąc częścią Generalnego Gubernatorstwa przyjęła dwie fale uchodźców. Na przełomie 1939 i 1940 pojawiły się grupy Polaków wysiedlonych ze Śląska, Pomorza, a przede wszystkim z Wielkopolski. Inny charakter miała druga fala uchodźców jesienią 1944 roku po upadku powstania warszawskiego. Warszawiacy znaleźli się niemal w każdej miejscowości regionu limanowskiego. Większość z nich przeżyła tylko dzięki życzliwej pomocy miejscowej ludności.

Przybywali całymi rodzinami, jedynie z bagażem podręcznym zdani na siebie lub życzliwość miejscowego społeczeństwa. Mimo początkowej nieufności i trudnej sytuacji materialnej mieszkańcy Limanowej zrozumieli tragedię tych ludzi. W miarę swych skromnych okupacyjnych możliwości kwaterowali, żywili i chronili wysiedlonych rodaków. Wsparcia udzielały także organizacje społeczne. Sami „poznaniacy”, bo tak ich tutaj nazywano okazali się ludźmi przedsiębiorczymi i wywarli znaczny wpływ na lokalne społeczeństwo. Mimo że mieszkali tutaj krótko, często pojawiają się we wspomnieniach z czasów wojny.

Jedną z wielu osób, która powraca myślami do tych tragicznych wydarzeń jest pani Barbara Jednac (Jackowska). Po przeszło sześćdziesięciu latach, w lipcu tego roku przyjechała do Limanowej, aby pokazać synowi i synowej miasteczko, do którego jako dziewięcioletnia dziewczynka wraz z całą rodziną była wysiedlona z Poznania. Pani Barbara Jednac (Jackowska) pragnęła jeszcze raz zobaczyć to małe galicyjskie miasteczko, w którym w latach okupacji spędziła swoje dzieciństwo.

Urodziła się w Poznaniu, gdzie mieszkała do wybuchu II wojny światowej i wysiedlenia, czyli do połowy grudnia 1939 roku.

Tak opisuje te okropne wydarzenia sprzed 70 lat.

Niemcy przyszli po nas wieczorem, waląc karabinami w drzwi mieszkania. Po wejściu do środka kazali nam się szybko ubierać i wychodzić. Gdy opuszczaliśmy mieszkanie przetrząsali kieszenie naszych płaszczy i zarekwirowali ostatnie pieniądze, które Mama tam schowała. Następnie zaprowadzili nas na posterunek Policji przy pl. Wolności. Było tam już pełno innych wysiedlanych tego dnia ludzi. Po pewnym czasie przyjechały autobusy i zawiozły nas do obozu przejściowego przy ulicy Głównej. Cały obóz oplótowany był kolczastym drutem i pilnowany przez niemieckich żołnierzy. Umieszczono nas w dużym piętrowym baraku na słomie. Było tam z nami dwóch młodych księży, którzy znaleźli się potem z nami w tym samym wagonie. Po kilku dniach, 14 grudnia 1939 roku wieczorem, załadowano nas do bydłych wagonów, w których na podłodze było trochę słomy i wiadro, czyli „kibel”. Jednego z panów wyznaczono na kierownika wagonu, który miał odpowiadać za porządek oraz wynosić na postojach ten „kibel”. Po „załadunku” nas wszystkich wa- ▶



Stanisława Jackowska - matka Barbary - przed domem Bednarzów na ulicy Rzecznej - 1942 rok (dziś ulica Jana Kilińskiego - dom nie istnieje).



Janina Jackowska (siostra Barbary) na ul. Rzecznej. Obok dom Bednarzów, dalej p. Leśniakowej (w nim mieszkała rodzina Jackowskich), ostatni Kaimów.

gon został zamknięty i transport z wysiedlonymi ruszył w nieznaną. Stłoczeni po 25-30 osób w wagonie (skład posiadał co najmniej 30 wagonów, transport liczył 942 osoby – dane potwierdzone przez Instytut Zachodni w Poznaniu) w nieludzkich warunkach, w mrozie i bez wyżywienia wieziono nas. Po trzech dniach dojechaliśmy do Limanowej-Sowliny, gdzie nas „rozładowano” (był to pierwszy transport przesiedlonych poznaniaków do Limanowej – przyp. red.). Umieścili nas w dużych budynkach, gdzie panie szlachcianki z okolicznych dworów, pod przewodnictwem Dziedziczki z Łaskowej, przygotowały nam ciepłe picie i jedzenie (te same Panie urządziły nam Święta 1939 roku w sali „Caritas”). Ile dni tam byliśmy? Tego już nie pamiętam. Potem starosta niemiecki przyszedł z listą osób wysiedlonych i wyczytał, gdzie kto będzie umieszczony. Nas przydzielono do Limanowej, innych do Tymbarku, Dobrej, Mszany Dolnej i Rabki. Tego podziału dokonano około Bożego Narodzenia. My trafiliśmy do Limanowej. Wszystkich wysiedlonych, którzy pozostali w Limanowej umieszczono w szkole. Na podłodze w klasach leżała słoma służąca nam do spania. W klasie razem z nami, czyli Mamą i czwórką dzieci, przebywali: nauczycielka p. Kwaśniewska oraz radca prawny Wiktor Krawczuk, który w niedługim czasie zmarł. W tej szkole mieszkaliśmy przez cały 1940 rok, tam przeżyłam najgorszą Wigilię w moim życiu - Wigilię 1940 roku - i tam kontynuowałam naukę. Po jednej stronie korytarza mieszkaliśmy, a po drugiej była moja klasa z moją ulubioną nauczycielką p. Heleną Bocheńską. Gdy już zostaliśmy w szkole tylko my - był to rok 1941 - przejęta została przez

wojsko niemieckie. Nas umieszczono u pani Leśniakowej na ulicy Rzecznej, a gdy zrobiono tam Getto, przeniesiono nas za rzekę na ulicę Kamieniec 286. Po zajęciu szkoły przez wojsko naukę przeniesiono do szkoły w Sowlinach, której kierownikiem był drugi mój ulubiony nauczyciel pan Józef Kuchajda (także wysiedlony).

Z Limanowej wyjechaliśmy na początku marca 1945 roku.

Kiedy telefonicznie zwróciłem się z prośbą do bohaterki wspomnień o uzupełnienie informacji pani Barbara wyjaśniła:

W tych trudnych latach Mama zajmowała się handlem. Musiała sobie radzić, aby rodzina mogła przetrwać trudne lata okupacji. Na pytanie czy inni wysie-



Janina Jackowska z Rafką Kolender (z prawej), Żydówką, córką właściciela garbarni w Limanowej.

dzeni poznaniacy podejmowali pracę w latach okupacji odpowiadała twierdząco, podając przykłady: Leon Andrzejewski posiadał sklep tekstylny, Czerniejewicz – zakład fryzjerski, Szuszyński – pracował w Kolejowych Zakładach Naprawczych w Nowym Sączu, doktor Markiewicz prowadził praktykę lekarską, Glazer – zajmował się handlem, inż. Zaręba był urzędnikiem, Leokadia Kwaśniewska i Jezierska były wolontariuszkami PCK i zajmowały się dożywianiem dzieci, Palacz była kierowniczką pralni, która znajdowała się w Sowlinach. Pracowała tam również poznaniaczka Luboszczyk. Zaś Hempowicz prowadził skup jaj w rynku. Wspominała dalej - nowi mieszkańcy Limanowej wysiedleni z Poznańskiego zawierali znajomości i przyjaźnie z limanowianami, szczególnie ludzie młodzi. Wzajemnie się wspierali w tych trudnych latach. Mama p. Barbary świetnie znająca język niemiecki stała się w mieście tłumaczką dla limanowskich rodzin. Pewnego dnia została poproszona, aby pojechała do Nowego Sącza na gestapo jako tłumacz w sprawie uwolnienia uwięzionych: Stanisława Ceglarsza i Aleksandra Weibrenera. W dowód wdzięczności za pomoc (więźniowie po kilku dniach zostali zwolnieni) pani Weibrener zapraszała nas na obiady - wyjaśnia. Wielu mieszkańców Limanowej przychodziło do Stanisławy Jackowskiej z listami, które pisane były w sprawach członków rodzin uwięzionych w obozach koncentracyjnych. Pani Jackowska tłumaczyła te listy na język niemiecki i pomagała je redagować w taki sposób, aby zawierały niezbędne treści. Było jej łatwo to czynić bowiem znała mentalność Niemców.



Janina Jackowska na rynku w Limanowej - 1942 r.



Stanisław Jackowski na Lipowem - 1942 r.

Poznaniacy próbowali sobie radzić w nowej rzeczywistości, ale cały czas myśleli o opuszczonych stronach rodzinnych. Najczęstszym życzeniem, jakie z okazji świąt składali sobie wzajemnie było pragnienie jak najszybszego powrotu w rodzinne strony. W Święta Wielkanocne życzyli, aby spędzić Boże Narodzenie w domu, a ponieważ nie spełniało się to, tak więc w Święta Bożego Narodzenia życzyli powrotu do domu na Wielkanoc. Tak było całą okupację. Dopiero w marcu 1945 roku pierwsi w strony rodzinne powracali mężczyźni, kobiety z dziećmi pozostawiały dłużej w Limanowej, ale i one po niedługim czasie wracały w rodzinne strony. Tak zakończył się ponury epizod przymusowych wysiedleń ludzi z Wielkopolski.

Rodzina wysiedlonej z Poznania pani Barbary Jednac-Jackowskiej, która w 1939 roku została zakwaterowana w Limanowej liczyła 5 osób. Byli to: Stanisława Jackowska-Stróżewska (44 lata) – matka, Janina (15 lat) – siostra, Jerzy (8 lat) i Stanisław (14 lat) – bracia oraz autorka wspomnień, najmłodsza z rodziny Barbara (9 lat).

Serdecznie dziękuję pani Barbarze Jednac za podzielenie się wspomnieniami zarówno tymi, które zostały przekazane na piśmie, jak również w rozmowach telefonicznych. Dziękuję też za archiwalne fotografie z lat okupacji. Wybrane prezentujemy w artykule.

Tekst: Stanisław Ociepka

Fotografie: arch.

Barbary Jednac (Jackowskiej)

Wysiedlenia i migracje ludności planowane były przez władze III Rzeszy jeszcze przed wybuchem wojny. Wynikające z założeń narodowosocjalistycznych realizowały ideę zdobycia „przestrzeni życiowej” dla Niemców kosztem innych narodów. Nazi-stowski plan osiedleńczy i germanizacyjny terytoriów Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej ostatecznie został sformułowany w Generalnym Planie Wschodnim /Generalplan Ost /.

Jego realizacja rozpoczęła się już w pierwszych tygodniach okupacji z inicjatywy miejscowych Niemców, którzy przejmowali majątek swoich dotychczasowych sąsiadów. Polakom nakazywano opuszczenie w ciągu 24 godzin swoich domów. Zabrać mogli jedynie niezbędne przedmioty, a cały majątek i nieruchomości musieli pozostawić do dyspozycji władz niemieckich.

Po utworzeniu cywilnej administracji i wcieleniu Pomorza, Wielkopolski, Śląska i części ziemi krakowskiej oraz Mazowsza działania przybrały charakter zorganizowany. Planowano przesiedlić do Generalnej Guberni docelowo 8 mln. osób, tj. ok. 80% zamieszkałej tam ludności polskiej. Szczególnie masowy charakter przesiedlenia przybrały w Kraju Warty, gdzie namiestnik Rzeszy Artur Greiser uznał Polaków za „element niegodny do włączenia w społeczeństwo niemieckie”. Do końca 1939 r. wysłano do GG ok. 80 transportów – ogółem 87 883 osób, a pod koniec 1940 r. wysiedlenia objęły już ponad 250 000 osób. Z samego Poznania przesiedlono około 70 000 osób. Wysiedleni Polacy byli kierowani do punktów zbornych lub obozów przejściowych, gdzie oczekiwali na transport, czasami kilka, czasami kilkanaście dni. W Generalnym Gubernatorstwie byli rozmieszczani w domach miejscowych Polaków lub, po rozładunku transportu, pozostawiani samym sobie. Setki tysięcy ludzi, głównie młodych, wysiedlono jako robotników przymusowych w głąb Rzeszy. Na miejsce Polaków napływały grupy Niemców z terenów zajętych przez ZSRR, krajów bałtyckich i Rumunii. Równocześnie z wysiedleniami władze niemieckie prowadziły intensywne działania mające na celu zmuszenie ludności polskiej do podpisania volkslisty. Szczególnym naciskom poddawani byli mieszkańcy Śląska, Wielkopolski oraz Kaszub. Wszyscy, którzy ją podpisali, podlegali prawu niemieckiemu i byli zobowiązani m.in. do służby w armii niemieckiej, ale warunkowo nie byli przesiedlani.

Ogółem w pierwszych latach okupacji z ziem włączonych do Rzeszy wysiedlono i pozbawiono majątków ponad milion osób. Najdotkliwiej odczuła wysiedlenia Wielkopolska i Łódzkie, skąd w ramach masowych akcji wysiedlono ponad 630 tys. osób. Z Pomorza wysiedlono 124 tys., z Górnego Śląska – ponad 81 tys., z Białostoczczyzny- ponad 28 tys., z Mazowsza- 25 tys., z ziemi żywieckiej około 20 tys. Polaków. Jesienią 1942 roku rozpoczęły się wysiedlenia z Zamojszczyzny, które dotknęły ponad 100 tys. Polaków. Wyjątkowo bezwzględną akcję przerwało zbrojne wystąpienie polskiego podziemia.

Stanisław Król

Początki działalności Krakowskiej

Niewiele jest w Polsce związków i stowarzyszeń o tak bogatym rodowodzie. Kongregacja trwa przez wieki. Najstarsza historyczna zapiska odnosząca się do dziejów krakowskiej gildii kupieckiej pochodzi z 1410 roku. Podstawowym zadaniem Kongregacji była obrona i popieranie kupieckich interesów. Aktywność Kongregacji nie ograniczała się jedynie do problemów ekonomicznych i zawodowych. Kongregacja była związkiem kupców chrześcijańskich i przez cały okres jej funkcjonowania działała również na płaszczyźnie religijnej. Spełniała też funkcje obyczajowe i towarzyskie. W 1907 roku zaczął się ukazywać dwutygodnik „Kupiec Polski”.

Krakowska Kongregacja Kupiecka angażowała się także w inicjatywy o charakterze narodowym. Te wieloletnie tradycje usiłowano zaburzyć, kiedy to administracyjnym nakazem Kongregacja została w 1949 r. rozwiązana. Dopiero po czterdziestu latach zapoczątkowana została praca zmierzająca do odnowienia tradycyjnych wartości zasad kupieckich. Na nowo powołano Krakowską Kongregację Kupiecką 21 października 1989 roku. Tak w największym skrócie przedstawić można historię Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej, z której wyrastają tradycje przejęte przez kupców zrzeszonych w Terenowych Oddziałach KKK.

W Limanowej autonomiczny Oddział Terenowy KKK założony został 31 stycznia 1937 roku. Liczba członków wówczas wynosiła 48. Skład Zarządu tworzyli: prezes Tomasz Bieda – ówczesny burmistrz Limanowej, wiceprezes Józef Wojs – właściciel piekarni, sekretarz Stefan Olszewski – właściciel sklepu galanteryjnego w Limanowej, członkowie Zarządu: Jan Pamuła, Józef Kroczeck, Jan Ćwik, Jan Biedroń, Kazimierz Sierosławski.

W rocznicę założenia oddziału KKK w Limanowej 30 stycznia 1938 roku odbyło się w sali Katolickiego Stowarzyszenia „Przyjaźń” w Limanowej Walne Zebranie pod przewodnictwem prezesa Oddziału Tomasza Biedy. W protokole z zebrania czytamy: *Praca ustępującego Zarządu spotkała się z uznaniem zebranych, którzy dali tego dowód w dyskusji i w wyborze całego dotychczasowego Zarządu na rok następny 1939 r. Podkreślano przede wszystkim doniosłe dla miejscowego kupiectwa przeniesienie Limanowej do tzw. IV-tej klasy świadectw przemysłowych, uzyskane dzięki poparciu Centrali KKK.*

Znaczącą pomocą dla kupiectwa były kredyty przeznaczone członkom Oddziału, przy czym na 19 wniesionych podań wszystkie, z wyjątkiem jednego, zostały uwzględnione. Na znaczne trudności napotyka zbieranie udziałów organizowanej w Limanowej hurtowni spożywczej. Mimo wysiłków pp. Tomasza Biedy i wiceprzewodniczącego Oddziału Józefa Wojsa kwota zebrana dotychczas jest zbyt mała by hurtownię uruchomić. Postanowiono rozwinąć energiczną propagandę za przystąpieniem do hurtowni, która będzie spółdzielnią kupiecką.



Pamiątkowa tarcza zwieńczona godłem Kongregacji Kupieckiej. U góry widnieje napis: 23 VII 1938. Hurtownia Kupców Polskich w Limanowej. U dołu wyryto nazwiska Rady Nadzorczej oraz zarządu: Rada Nadzorcza: Tomasz Bieda, prof. J. Pantula, Józef Kaim, dr A. Mamak, Jan Ćwik, J. Hajnold, J. Bulanda, J. Szewczyk, J. Biedroń, M. Hojda, P. Waligóra, J. Kroczeck. Zarząd: Tomasz Biel, Józef Wojs, Stefan Olszewski, Franciszek Mikula. Do tarczy wbitych jest przez uczestników uroczystości ponad 100 ozdobnych, pamiątkowych gwoździ. Pamiątkowa tarcza znajduje się w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

Wieczorem tego samego dnia członkowie Oddziału, ich rodziny i zaproszeni goście zasiedli do tradycyjnego opłatka. Do zebranych przemówił w serdecznych słowach ks. prałat Kazimierz Łazarski. Okolicznościowe przemówienie wygłosili: starosta powiatu limanowskiego Stanisław Nowak oraz delegat Centrali KKK A. Pelczar z Krakowa. Za życzenia podziękował prezes Oddziału – burmistrz Tomasz Bieda, wznosząc toast na cześć licznie przybyłych reprezentantów duchowieństwa, władz administracyjnych, skarbowych i szkolnictwa. Opłatek odbył się w bardzo miłym nastroju i trwał do późnych godzin wieczornych.

Kongregacji Kupieckiej w Limanowej



Uczestnicy uroczystości zorganizowanej z okazji otwarcia limanowskiej Hurtowni Kupców Polskich - 23 lipca 1938 rok. Pośrodku tarcza pamiątkowa, za nią siedzi budowniczy kościoła w Limanowej ks. prałat Kazimierz Łazarski, obok po lewej prezes Kongregacji w Limanowej, burmistrz miasta Tomasz Bieda.

Oprócz działalności statutowej limanowscy kupcy organizowali i uczestniczyli w wielu uroczystościach: religijnych, patriotycznych i towarzyskich. Jedną z tych ważnych uroczystości był udział w pielgrzymce do Częstochowy.

Limanowscy kupcy 15 maja 1938 roku specjalnym pociągiem z Suchej Beskidzkiej udali się na pielgrzymkę Kupiectwa Polskiego do Częstochowy, odpowiadając na apel Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej. W „Kupcu Polskim” z 1 maja 1938 roku czytamy: *Celem złożenia zbiorowego hołdu Najświętszej Maryi Pannie, Patronce i Opiekunce Kupiectwa Polskiego oraz dla zamianifestowania naszej stałości w wierze i przywiązania do Kościoła Katolickiego urządzamy Pielgrzymkę Kupiectwa Polskiego wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej Polskiej.*

W okresie międzywojennym ogólnie znany był brak polskich placówek hurtowych. Zdawano sobie dobrze sprawę, że stworzenie polskiego hurtu nie było rzeczą łatwą i prostą w istniejących w tym czasie warunkach. Zasadniczymi trudnościami był brak kapitałów czysto polskich oraz brak odpowiednich fachowców. Pierwszą próbą rozwiązania problemu hurtu polskiego były spółdzielcze hurtownie wspólnych zakupów. Przełamawszy wszystkie trudności założono placówki spółdzielcze i dzięki prężnie działającym Zarządom rozwijały się one pomyślnie i wzmacniały, tworząc zdrowy czysto polski hurt.

Pod koniec lat trzydziestych podjęto na szeroką skalę działania pozwalające coraz skuteczniej konkurować z rozwiniętym doskonale handlem skupionym w rękach żydowskich.

Jednym z wielu przedsięwzięć mającym spowodować uniezależnienie się od hurtowników żydowskich było zorganizowanie przez kupców katolickich Hurtowni Kupców Polskich. Kasa Stefczyka udzieliła kredytu osobom chcącym zająć się handlem straganowym. Prowadzono na szeroką skalę akcję uświadamiającą i propagandową.

W „Kupcu Polskim” z 1938 roku napisano: *Limanowa od lat jest gospodarczo opanowana przez Żydów. Handel detaliczny i hurtowy dotąd był wyłącznie w ich rękach. Oni posiadali przygniatającą większość w miasteczku, ich wyłączną domeną były branże żelazne, ze skórą i butami oraz wszelkiego rodzaju hurtownie. Zmienia się jednak w naszym mieście coraz bardziej na lepsze. Wieś w naszym powiecie stała się przykładem w unarodowianiu handlu. Sklepy na wsi przejęli w pracowite i wytrwale ręce Polacy. Każda prawie wieś ma obok prywatnych i spółdzielcze sklepy. Zmieniło się. Energiczne jednostki jak kpt. rez. Tomasz Biel, Józef Wojs, Stefan Olszewski, Józef Kaim kupcy z Limanowej z zapalem wzięli się do pracy, z poświęceniem objeżdżali teren powiatu, by zyskać udziałowców. Praca ich została uwieńczona. Pozyskano z całego powiatu bardzo poważną ilość udziałowców, zebrano fundusz, który wraz z kredytem dał możliwość otwarcia hurtowni.*

27 lutego 1938 roku na Zjeździe Oddziałów KKK w Krakowie uchwalono rezolucję „Apel do kupiectwa polskiego”. Na zjeździe tym reprezentowany był Oddział KKK z Limanowej. W „Kupcu Polskim” z 15 marca 1938 roku napisano: *Wielkie dziejowe zadanie rozbudowy własnego narodowego handlu oraz obowiązki ciężące na nas wobec państwa, społeczeństwa zobowiązują nas do zjednoczenia w organizacjach zawodowych wszystkich Kupców Polskich.*

W wyniku wcześniej podjętych działań oraz odpowiadając na uchwaloną rezolucję 23 lipca 1938 roku dochodzi do otwarcia i poświęcenia Hurtowni Kupców Polskich w Limanowej. Tak to wydarzenie relacjonował wówczas „Kupiec Polski”:

Kilkutysięczne miasteczko górskie zdobyło się dzięki wysiłkowi grupki dzielnych ludzi na hurtownię. W starym rynku Limanowej, której chlubą i ozdobą jest przepiękny kościół, stawiany w stylu podgórskim z kamienia, o wnętrzu stylowo malowanym z ołtarzami o potężnej rzeźbie z kamienia, obok domów ze starymi podsieniami, powstała hurtownia – porywająca oczy przybysza, czującego i myślącego po polsku i chrześcijańsku.

Powiedziałbym, patrząc na wspaniałą Dom Boży, że ludność, która go wybudowała ze swym zacnym ks. Prałatem na czele, zdolna jest do wielkich czynów.

Rozmawiając z organizatorami hurtowni, prezesem Rady Nadzorczej, który równocześnie pełni funkcję burmistrza Limanowej, Tomaszem Biedą oraz Tomaszem Bielem, Józefem Wojsem, Stefanem Olszewskim, Franciszkiem Mikułą, Józefem Kaimem i innymi członkami Zarządu wyczuło się szybko, że ludzie Ci wierzą w swoje dzieło i będą je starannie pielęgnować – jest bowiem dopiero trzecią placówką w Województwie Krakowskim, co właścicielom wielki zaszczyt przynosi.

Uroczystość rozpoczęto Mszą św. z podniosłym, kazaniem ks. prałata Kazimierza Łazarskiego, który następnie poświęcił Hurtownię. Mieściła się ona w dwóch pomieszczeniach, prawdopodobnie w kamienicy Teodora Smolawy we wschodniej części rynku. Zaopatrzona była we wszystkie odmiany towaru potrzebnego kupcom. Później nastąpiło wbijanie gwoździ do tarczy pamiątkowej.

O randze tej uroczystości świadczy liczny udział mieszkańców Limanowej i powiatu limanowskiego o szerokim przekroju społecznym (można to wyczytać z wbitych ozdobnych gwoździ do tarczy pamiątkowej). Licznie na tę uroczystość przybyło duchowieństwo z całego dekanatu, które mocno popierało akcję kupców katolickich. Obecni byli również delegaci Oddziałów KKK, władze miejscowych instytucji i organizacji.

Centralę KKK i jej nowosądeckiego Oddziału reprezentował wiceprezes Józef Tomecki, delegatów Tarnowa wiceprezes Oddziału KKK L. Szadziński, który między innymi podkreślił, jak dużą wagę dla handlu w Limanowej ma powstanie trzeciej z rzędu tego rodzaju hurtowni w Małopolsce (istniały już hurtownie w Tarnowie i Dębicy). Wyraził swą radość, że cały powiat bez względu na przekonania polityczne podał sobie ręce w walce o unarodowienie handlu.

W pięknie ubranej wypełnionej szczelnie sali „Sokoła” powitał zebranych prezes limanowskiego Oddziału Tomasz Bieda, dziękując za okazaną pomoc wszystkim, którzy się do tego przyczynili. Dyrektor Hurtowni kapitan Tomasz Biel przedstawił szczerze i po żołniersku blaski i trudy, z jakimi borykali się założyciele. Ich praca i wysiłki ukoronowane zostały uroczystością, która stała się dla nich najlepszą nagrodą. W przygotowaniach tej uroczystości żywy udział brała młodzież, która miasto ubrała w transparenty, a mówców gorąco oklaskiwała.



Miasto podczas otwarcia i poświęcenia Hurtowni Kupców Polskich udekorowane było transparentami - lipiec 1938 rok. Po środku prezes KKK w Limanowej burmistrz Tomasz Bieda, po lewej ks. Jan Rachwał.

14 sierpnia 1938 roku odbyło się nadzwyczajne Walne Zgromadzenie (najprawdopodobniej ostatnie przed wybuchem II wojny światowej). Poświęcono je sprawie niedawno założonej Hurtowni Kupców Polskich w Limanowej. Członkowie Oddziału stawili się w komplecie, licznie przybyli również zaproszeni reprezentanci miejscowych organizacji społecznych. Po przemówieniu prezesa Oddziału Tomasza Biedy głos zabrał prezes Hurtowni Tomasz Biel, który w swym wystąpieniu podkreślił, że powstanie Hurtowni po długim okresie wysiłków i zabiegów nie rozwiązuje jeszcze wszystkich trudności. Walka z silną konkurencją kupiectwa miejscowego wymaga bezwzględnej dalszej solidarności. Następnie kierownik Hurtowni Tarkowski, kupiec specjalista z Tarnowa, podał zebrany cyfry pierwszego bilansu, z których wynikało, iż już w pierwszych tygodniach utargi Hurtowni oraz jej zapasy towarowe były bardzo zadowalające. Na koniec Walenty Gawron członek Rady Nadzorczej Spółdzielni „KOSA” oraz Zarządu Kasy Stefczyka i prezes Stronnictwa Ludowego w Sowlinach wyraził szczerze uznanie dla inicjatywy Oddziału.

Niestety wybuch II wojny światowej oraz okres okupacji przerwał rozwijającą się dynamicznie samodzielną działalność Oddziału KKK w Limanowej oraz prężnie pracującą przez rok Hurtownię Kupców Polskich z tak wielkim trudem zorganizowaną.

Tekst: Stanisław Ociepka
Fotografie: z arch. „Okruchy pamięci.
Limanowa na starej fotografii”

W 2010 roku limanowscy kupcy obchodzą 600-lecie Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej oraz 73. rocznicę powstania Oddziału Kongregacji w Limanowej. Z okazji tych jubileuszy zostanie wydany okolicznościowy biuletyn.



Przed kamienicą Tomasza Biedy (drugi z prawej) mieścił się sklep i restauracja. Dziś znajduje się tu restauracja „Świerkowa”.



Przed sklepem galanteryjnym Jana Olszewskiego, sekretarza Kongregacji w Limanowej. Sklep mieścił się na ulicy Krakowskiej.



Franciszek Mikula - członek Zarządu Kongregacji w Limanowej z żoną Józefą oraz córką. Był w latach międzywojennych właścicielem restauracji.



Przy ulicy Krakowskiej w kamienicy Marii i Józefa Studenckich w jej części parterowej mieściły się sklepy różnych branż.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Rachunki firmowe



**Zobacz jak pomożemy w rozwoju Twojej firmy!
Solidny partner w Twoim biznesie.**

Zapraszamy do naszych oddziałów!

Centrala: 34-600 Limanowa, ul. Rynek 7; tel. (018) 33 79 100

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl



Centrum Materiałów Budowlanych

GRUPA
psb

IMPULS[®]



PRZEDSIĘWZIĘSTWO
FAIR PLAY
ISO 9001

POLSKIE SKŁADY BUDOWLANE



Wysokoelastyczna
zaprawa klejowa
do płytek
Sopro No.1

opakowanie:
25 kg

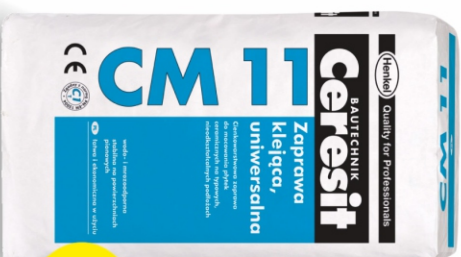
67,30 zł



Zaprawa
klejowa
do płytek
Cekol C-09

opakowanie:
25 kg

16,00 zł



Uniwersalna
zaprawa klejąca
do mocowania
płytek Cerestit CM-11

opakowanie:
25 kg

22,70 zł

Dachówka ceramiczna
RuppCeramica Sirius
13 kolor ceglasty
cena za m²

30,70 zł



**Kupuj w Impulsie,
weź udział w konkursie!!!**

Nagroda główna
skuter YAMAHA



**i inne atrakcyjne
nagrody**

regulamin dostępny w siedzibie
oraz oddziałach firmy IMPULS

ul. Piłsudskiego 14 • Limanowa

tel. (018) 33 74 127

www.impuls-psb.pl